



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kanterach pism periodycznych, po cenie:
 rocznie ror. 7 kop. 20, półrocznie ror. 3 kop. 60, kwartal. ror. 1 kop. 80,
 miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 Kwartalnie ror. 2 kop. 50, półrocznie ror. 5, rocznie ror. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
 Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
 Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartal. ror. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową ror. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. ror. 2 cent. 75; na prowincyi
 z przesyłką pocztową ror. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskim: u M. Leitgebora i Spół., kwartalnie tal. gr. 1
 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Przeżyliśmy karnawał i dziś tydzień tylko jeden rozdziela nas od dnia, w którym sobie głowy popiołem posypimy. W roku bieżącym bawiliśmy się w Warszawie lepiej niż w latach poprzednich. Nawet te domy mieszczan skie, które przez czas długi miały ochotę, ale nie miały możliwości karnawałowania — w roku bieżącym dzięki towarzystwu kredytowemu m. Warszawy, towarzystwu wzajemnego kredytu, towarzystwu budowlanemu, dalekiemu jeszcze od zawiązania się, a więc obiecującemu wygórowane ceny mieszkań na czas Bóg wie jeszcze jak długi, dzięki wreszcie kredytorom nie zawiązywanych w żadne towarzystwa i posiadającym swoją *echelle mobile* do pożyczek: dzięki tym wszystkim J. J. W. W. i W. W. okolicznościom i instytucjom, które pocziwem mieszczań warszawskim wydeły trochę kieszenia, a wypróżniły głowy Styczeń był dość ożywionym. Herbat tańczących — przez skromność ludzie sami usuwają się na drugi plan — policzylbym nie zdołał. Każdy dom musiał mieć swoją zabawę; skapiono na teatr, na koncert, a zbierano na gorącą kolację z winem, na stroje dla panien, na biednego muzykanta, chudą, bladą, wysoką, od 10-ej w wieczór do 6-ej rano grającą maszynę. Mężczyźni krzyczą i na herbaty i na stroje, na muzykę — ale jakoś sami ułatwiają genezę tych wszystkich rzeczy, doznają prawdziwej przyjemności w atmosferze balowej; radziłyby tylko, żeby im przyjemność darmo przychodziła. Oczywiście więcej im wtedy zostało pieniędzy na wydatki pozadomowe. Wszakże i „ojciec dzieciom“ zabawie się musi...

Najświetniejszym był bal w ratuszu d. 2 lutego. Znajdowało się na nim przeszło półtora tysiąca osób. Takiego zebrania od lat wielu nie zapamiętano w grodzie Syreny. Bawiono się krótko ale dobrze. O godzinie 2-ej już skończyły się tańce, a o trzeciej po-

dobno mało kto już znajdował się na sali. Toalety były bardzo strojne; gdyby istniał jeszcze dawny zwyczaj sławienia pani X. i panny Y. z wielkiego świata, a panien A. B. C. *minorum gentium*, niewątpliwie pisma codzienne podałyby nam po balu poniedziałkowym długi registr czynów dokonanych przez jubilerów i modniarki. Dziś gdy zwyczaj podnoszenia balów na wyżyny życia publicznego ustał, radzić sobie potrzeba jak można: głuchą wieścią niby legendą z ust do ust przechodzącą, że ta lub owa pani wyglądała przepysnie, a tamta wspaniale, a tamta wreszcie niezrównanie. Przez cały tydzień mówiono o balu i prawdziwie wstydzić się musiałem, że od siebie nawet słowa jednego do rozmów przyrzucić nie zdołał. Na balu nie byłem. Wyznanie to czynię w niemałej trwodze.

Bal chrześcijański, bo z celem chrześcijańskim, zasługiwał na powodzenie i nie powinien się też na serca, kieszenie i nogi Warszawian uskarżać. Szpital dla dzieci zostający pod zwierzchnictwem Dra Sikorskiego i staraniem jego przed kilku laty założony, zyska pewno do 4,000 rubli na dalsze swe, pełniejsze niż dotąd istnienie. Szanowny medyk urządzając bal publiczny dla zasilenia funduszów bardzo znacznej instytucji dowiódł znajomości ogólnej choroby wieku dającej się dyagnozować i niemedykom: „wszystko dla przyjemności i nic za darmo!“ Czemże są nasze bazyry, loterye fantowe, zabawy kwiatowe, a wreszcie bale, w rodzaju tych, jaki się odbył przed dziesięćmioma dniami, jeśli nie objawami tej naczelnnej choroby wieku?

Choroby? czy rzeczywiście nazwiemy chorobą tę zdolność przerabiania wszystkiego na pieniądze, a obracania pieniędzy na wszystko, a więc i na rzeczy dobre i potrzebne? Czy będziemy się gniewać na nasz wiek za to, że wymyślił sobie mechanizm, w którym bogactwo przyniewolić można do posłużenia nędzy, przyjemność uczynić służebnicą smutku i niedoli, nakazać tańczyć i spacerować jednym, aby drudzy mieli za co powstać z łoża cierpienia, o czym zawleć się do kończącego wszystko grobu?

Niech młodzi tańczą, starym zostało — nudzić ich pogawędkami. Niejeden taniec zamienił się już w pochód do ołtarza i jeżeli nie bez zasady, mówią że szczęśliwy karyerę, nawet najświetniejszą, nogami wytańcować może, to powszechnem jest prawie szczęście wytańcowywania sobie żon. Karnawał jest porą konkurów i oświadczeń. Ludzie mający iść ze sobą przez życie całe podają sobie ręce, wtedy kiedy właśnie najmniej są sobą, kiedy jedno i drugie, *on* i *ona* najbardziej żyją życiem sztucznym, pożyczanem od powietrza, światła i kwiatów balowych. Dobrzeż to tak? Znałem przed laty cynika, który mi odpowiedział na wszystkie moje wątpliwości: „Co — chcesz, ludzie muszą się upoić, aby zrobić głupstwem!“ Biedny cynik był bardzo nieszczęśliwym w małżeństwie nieszczęśliwym w własnej winy oczywście — bo w inne nieszczęścia nie wierzę. Ale czy ałk czy owak nie miał prawa występować z herezyą — a herezyą wydać się musi każdemu człowiekowi o zdrowych zmysłach, to z czem ów biedak wystąpił. Słowa wprawione niegdys na scenę żywą bardzo, dramatyczną, a więc niełatwo zacierającą się w pamięci, przytoczyłem tu tylko na dowód zbroczenia, w jakie wpaść może umysł ludzki, gdy się oderwie od tego środka ludzkości, od tego mrowiska, w którym ruch wiekuisty, bezwiedny własną siłą, mrówek regulowany panuje. Życie od lat tysięcy żadnej nie doznało zmiany; jest takim jakim było, a będzie jakim jest. Ten tylko z krytyką życia występuje, kto jego kamiennej niewzruszoności nie dostrzegł. Tajemnicą mądrości jest: być zadowolonym ze wszystkiego.

W stałości jednak ogólnej, jest pewien ruch wewnętrzny, który nie zmieniając granic życia, utrzymując je zawsze w jednakowej małości, przedstawia tylko i przenosi z punktu jednego na drugi, drobne proszki i pyłki składające się na całość pielgrzymki ziemskiej. Taki ruch właśnie objawia się w małżeństwie i sprawach z niem związanych. Filozofia żywa nie zmieniała się, przetrworzyła się tylko trochę uczuciowość t. j. ta pewna summa wrażeń utrwaloonych w sercu, którą za nieodzowną w małżeństwie uważamy. W ogóle uczucia jak każdy kwiat z czasem więdną, jak każdy płomień wypalają się; jak

dobrze anioły niedługo człowieka w opiece swej trzymają. O całej ludzkości dziś powiedzieby można, że się w niej uczucie, niby ogień geologiczny we wnętrzu ziemi, wypala; pozytywizm i materializm jest tylko objawem tego stygnięcia, w którym idee i ideały zamieniają się na cyfry. Małżeństwa ulegają ogólnemu prawu. Mogą one spełniać lepiej niż dawniej swoje posłannictwa w społeczeństwie; mogą wypromieniać z siebie lepsze życie rodzinne, mogą dawać pochoch do uczonych traktatów, w których przeprowadzana bywa paralella między dawną ciemnotą, a dzisiejszą światłością. Wszystko to być może, ale przy tem wszystkim, uzasadnione są najzupełniej obserwacje socyologów, że temperatura małżeństw zniża się coraz bardziej, że i przy staraniu się o rękę i przy oświadczeniach i przy ślubie i po ślubie i na srebrnych weselach coraz więcej panuje chłodnego rozsądku, coraz więcej tego mrozu, który raczej małością duszy jest niż rozumem tęgością. Co naprzykład powiedzieć o zaręczynach spisanych w umowie dwustronnej w obec świadków z zastrzeżeniami kary wadyalnej? Co o ślubie, po którym panna młoda od daje na sprzedaż do bazaru wieniec i welon, jako rzeczy zbyteczne już nie potrzebne, treści realnej pozabawione? A właśnie wypadki obu kategorii wydarzyły się w Warszawie w tych czasach. Oderwane one, ale mimowoli myśl, pajak samotny, nawija około nich wątlą przedzę swoją....

Tańcujcie młodzie!

P. Marya Szeliga tańcować nie będzie, choć jest młoda, a jak z pism jej widać bardzo jeszcze młoda. Panna Marya Szeliga tylko zapomni.—Czego? Oh! registr dość długi. Więc przedewszystkiem „ułud nieba gwiazdzistego“, potem „rozkosznych serca marzeń i zachwyłów“, a nakoniec jakiegoś „wczoraj“, którego nam prozaiczna poetka bliżej nie określa. Zaprzysięgając to zapomnienie w „Przeglądzie tygodniowym“ w N-rze z d. 4 stycznia, na stronnicy 9, panna Szeliga zaręcza, że „rozum i wola są u niej niezłomne“, że „myśli jej będą ścisłe i przytomne“ i w tym stanie bardzo pożądaną równowagi duchowej młoda autorka pokazuje nam. „Jak się to często dzieje na świecie“ i jak się żyje „dla ideału“ postanawiając poświęcić się „pracy ciągłej dla przyszłej budowy losów ludzkości“ woła: Teraźniejszości chcę się oddać całą“. Tam jej cel i chwala! Nie mamy przeciwko pracy i chwale poetki. Na „oddaniu się“ lub nieoddaniu panny Szeligi, ludzkości niewiele zależy: postanowienie jej mogło najswobodniej pozostać w tajnikach jej teki. Radzimy tylko młodej autorce aby jej „pieśni tej były osnowy“: iżby się ze zdrowym uczuciem i rozsądkiem zgadzały. Wydałoby sobie przedewszystkiem zdać sprawę z wyrazów: dziś, wczoraj i jutro, z wyrazów tylko. To rzecz tak łatwa dla poetów, zwłaszcza dla tych, co chcą być architektami ludzkości.

Piękny list pasterski wydał w końcu zeszłego roku X. biskup lubelski, Baranowski. Dzienniki zagraniczne nawet zwróciły uwagę na odezwę czcigodnego dostojnika kościoła. X. Biskup przemawiając do duchowieństwa, po udzieleniu mu rad ewangelicznych i przypomnieniu obowiązków przepisanych przez kanony, zaleca proboszczom aby się oddali pracy około podniesienia ogrodnictwa niezmiernie u nas zaniedbanego, aby uprawiali drobny przemysł z ogrodnictwem związany i szczególnie zajęli się hodowlą pszczół. Istotnie, nikt bardziej pożądanym nie jest do zajęć ogrodniczych; nikt silniej potrzeby ich nie odczuwa, jeśli tylko ma przywiązanie do ziemi, jeśli kocha naturę i chce z nią w związku przez pracę pozostać — nad duchownego żyjącego pomiędzy ludem na wsi. Niegdyś, gdy jeszcze ogrody nie znajdowały się w stanie upadku, w jakim je dziś po większej części widzimy, duchowieństwo w utrzymywaniu ich nie mały udział przyjmowało. X. Kluk pisał dzieła umyślne, ks. Piramowicz w Kurowie pod Lublinem zostawił do dziś dnia trwający pomnik pracowitości, dobrego smaku i zamiłowania przyrody. Później ogólne lenistwo z dworów dostało się na plebanje. Dziś mamy na targu jabłka droższe od poma-

rańcz, a czego przeszłość nie zostawiła, o to nie zadbała terażniejszość. Słynne ogrody w Plocku, w Kazimierzu, w Lubartowie, Firleju pochodzą jeszcze z XVI i XVII w.

My ze swej strony powiemy, że podniesienie ogrodnictwa, pszczolnictwa, jedwabnictwa i całego przemysłu domowego rzeczą jest kobiety, pani domu, gospodyni wiejskiej. Ochoce, rażne zabranie się do pracy—przełamie nieusprawiedliwiony niczem opór gospodarzy wiejskich, którym zdaje się, że każdy grosz włożony nie w rolę jaką lub oborę pójdzie na marne. Odwagi tylko potrzeba i wytrwałości.

* * *

Staruszka! sto lat już skończyła na Nowy Rok, a umysł ma jeszcze trzeźwy, zdrowie czerstwe; siły do życia na długo jej jeszcze wystarczają. Przechodziła rozmaite koleje losu: żyła w małym i wielkim świecie, lekko i poważnie, kochała i cierpiała, miała swoje grudnie i maje; zawistnych sobie i życzliwych, miała swoje złe i dobre; ot, jak zwyczajnie na ziemi—grzeszyła nawet niekiedy; ale z tem wszystkim dziś z pewną pogodą duszy w przeszłość swoją spojrzeć może. Opowieści jej życia spisana w dwóch pierwszych numerach „Gazety Warszawskiej“ z roku bieżącego. Sama to „Gazeta“ jest tą staruszką, której losy w obszernym, skromnie i dobrze napisanym artykule opowiedziane znajdujemy. Zawiera się w nich także spora kromka ogólnych dziejów społeczeństwa, bo się te dzieje na wydawnictwie „Gazety“ odbijały. Sto lat przeżyć dziennikowi—to długowieczność rzadka w Europie. Zaledwie jedenaście dzienników na całym kontynencie wraz z Anglią, a możemy powiedzieć i na całym świecie cywilizowanym po koniec roku 1873, przeżyło tę jubileuszową setkę. Z dniem pierwszym stycznia orszak jubilatów zwiększyła „Gazeta Warszawska.“ Ciekawe są bardzo koleje przez nią przebyte: jakim zmianom ulegał jej program, ster redakcyjny, manipulacja wydawnicza, sama nawet szata zewnętrzna. Pierwszym redaktorem od d. 1 stycznia 1774 r. był ksiądz Łuskiński; wydawał on pismo dwa razy na tydzień, i z drugim dopiero numerem przezwiał je „Gazetą Warszawską.“ W r. 1794 miejsce Warszawskiej zastąpiła w tytule „Gazeta Krajowa“ na czas bardzo krótki, poczem z przejściem pisma na własność Antoniego Lesznowskiego (ojca) dawna nazwa wróciła. Odtąd dziennik pozostaje niezmiennie w jednej i tej samej rodzinie. W półwiekowym przeciągu czasu miał sześciu redaktorów i zamieniwszy się z pisma tygodniowego na półtygodniowe, następnie na czterodniowe, wreszcie na codzienne, w r. 1841 przeszedł pod redakcję zmarłego w r. 1859 Antoniego Lesznowskiego (syna), który postawił wydawnictwo na tej stopie, na jakiej je dziś widzimy. W roku 1863 powiększono tylko jeszcze raz format gazety, a w ostatnich czasach wprowadzono ulepszenia, jakich domagały się rosnące coraz bardziej potrzeby publiczności. Zmian tych dokonał już p. Józef Kenig, od zgonu Antoniego Lesznowskiego stały redaktor pisma.

Redakcyja obchodziła stoletni jubileusz nabożeństwem w kościele.

* * *

W Warszawie ciągle coś nowego. Krokodyle zagnieździły się już na dobre w bezwodnej rzece teatru Rappo. Na nowy świat przypędziły z pod bieguna renifery. Mała Relina, z zawiązanymi oczyma doskonale wszystko widząca, przepowiadała ludziom przyszłość, opisywała ich powierzchowność, poznawała—o dziwo!—to co jej podsuwano pod oczy i to aż za pół rubla lub dwa złote. Do Resursy Obywatelskiej wprowadziła się była cała wystawa wiedeńska w formie stereoskopów. Kto wie, czy lada dzień nie przyjedzie jaki ludożerca, z rodzaju zeszłorocznego. Cuda natury, panny Laura i Matylda Herman, jedna 9-cio druga 11-toletnia uczennice konserwatorium paryzkiego, popisywały się z grą na skrzypcach—obudzając zasłużony podziw w recenzentach muzycznych i felietonistach. Dla melomanów wielką ucztą było zjawienie „księżęcia czy króla skrzypków“, Joachima, dyrektora akademii muzycznej w stolicy świata (w słowniku p. Bismarcka takie ma znacze-

nie wyraz „Weltstadt“) w Berlinie. Słyszeliśmy tego króla: jest rzeczywiście wielkim wirtuozem. Pochodzi z Pesztu—aklimatyzował się w Berlinie.

Dla mnie, osobiście—każdy ma swoje gusta—nad wszystkie powyższe wypadki ważniejszym było pojawienie się w Warszawie—w niewdzięcznej sali Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, arcydzieła Jana Matejki: „Kazanie Skargi.“ Przed tym obrazem poznałem dopiero ogrom talentu i rzetelność pochwał, jakie mu oddaje Europa cała, z wyjątkiem pewnych tylko niepoprawnych koteryi. O ileż obraz ten wyższym jest nad „Jawnogrzesznicę“ Siemiradzkiego! Ale widzę już groźną twarz szanownego recenzenta „Bluszczu“, przypominającego mi spojrzeniem, że za pędzam się na nie swoje pole.

* * *

Teatr Rappo dobrze w roku bieżącym pracuje. Pięć prelekcji dla rzemieślników odbyło się już w jego murach—niewiem jak nazwać poetycznie ściany drewniane—pięć prelekcji, a każda pełna słuchaczy, dla jakich była przeznaczoną. Prelekcye trwać będą póki się serya ich nie skończy. Potrzeba zasilenia funduszów młodocianego towarzystwa Osad rolnych i Przytułków rzemieślniczych, wywołała myśl urządzenia kilkunastu prelekcji w Ratuszu. Mają też i kobiety *ex-cathedra* przemawiać; dotychczas ostateczny wykaz odczytów, chowanych bardzo słusznie na post, nie został jeszcze ogłoszonym. Szlachetną przedsięwzięcie zasługuje na jak najgorętsze poparcie.

Nietylko nauka, ale i teatr chowa swe siły na czasy postne. Don-Carlosa Szyllera przedstawić mają zaraz po Popielcu, na benefis pani Modrzejewskiej Tymczasem zastawiono nam „Wagę na stole“ nędzną ramotę, której miejsce właściwe wszędzie tylko nie w Teatrze.

Za Szekspirem wchodzi do nas Szyller. Mam już „Zbójców“, i „Don-Carlosa.“ Donoszą z dobrego źródła, że „Intryga i miłość“ przyjętą już została na repertoar.

Między nowościami teatralnymi zaznaczyć wypadki spodziewane wystąpienie tragika angielskiego p. Newill, Węgry rodem, którego specjalnością jest Szekspir, a w Szekspirze Otello. Do roli nieszczęśliwego Murzyna, sama twarz p. Newill doskonale się nadała. Wielka siła życia, ognistość duszy, energia ruchów, potęga i wyrobienie głosu — przymioty, które mieliśmy sposobność poznać z bliska w produkcji artystycznej, naprędce zaimprovizowanej, dobrze wróżą o p. Newill.

BAWIĄCA PANNA.

(Dokończenie).

Niekreśloność najważniejszego stosunku życia prowadzi to za sobą, że życie całe jest we wszystkich zarysach swoich niepewne i jak zamglony obraz mętny. Biedna ofiara poświęca wszystko dla stanowiska towarzyskiego i jakież jest stanowisko, które zdobywa? Zawieszona wiecznie między równością a niższością względem osób, z którymi obcuje, *pani bawiąca* nie ma właściwie stanowiska, a tylko jakieś miejsce podrzędne: szary koniec w życiu pańskiej, uboczne krzeselko w pańskiej bawialni. Tam niewet, gdzie rodzina wśród której przebywa jest dla niej względna i dobrotna, czyż cały obyczaj życia, które się w koło niej toczy nie upokarza jej co chwila? Czyż każdy gość przybywający, każdy nastający sługa nie da jej uczuć mimowoli, że jest dla niego osobą mniej od innych ważną? Ten sam przesąd, którym się ona w swojej bolesnej walce z losem opiera, ten sam przesąd to sprawia, że ją w każdej chwili postawią niżej od drugich, młodszych, niż ona wartych—że wśród zebrań towarzyskich i pomną dla niej o względach, które świadczą o nim, że ją w kole tych względów opuszczają, pomiędzy wewnętrzną jej wartość będą lekceważąc, o jej pr-

mioty troszczyć się nie zechcą, i to nawet nie najgor-
si sercem, nie najniżsi umysłem, bo ona biedna tak
musi być okolicznościami podobnie pędzonego życia
zgnębiona, goryczą jego strata, że nie może już na-
wet rozwinać żadnych ponęt, które ludzi pociągają:
nie potrafi być głośno inteligentną, jawnie uczucio-
wą, w zdaniach oryginalną, w przekonaniach stanow-
czą. I cały powab osoby jej przepada, nawet zew-
nętrzną urodę wdzięk traci, a piękność trzewiowie
zamykającego się w sobie ducha, chowa blaski swo-
je gdzieś w głąb, gdzie ich trudno odkrywać ludziom
którzy nie mają ani chęci szczególnej, ani interesu
żadnego do czynienia psychologicznych obserwacji
i wyszukiwania duchów smutnych. Takich, którzy-
by dla duchów podobnych sympatyczną litość uczu-
li jest bardzo, bardzo niewiele, bo oprócz prawdzi-
wej serca dobroci, potrzeba jeszcze na taką tkliwość
uczucia wielkiej uczucia tego delikatności. Nie
każdy może zrozumieć boleści ciche, cierpienia
które pozostają bez skargi, zapadają w głąb serca
bez jęku i w naszej literaturze jedynie może pióro
męskie, pióro też wysoko szlachetne i poezji pełne,
a w cieniowaniu uczuć niewypowiedzianie deli-
katne, nakreśliło ze współczuciem litosnym postać
tej istoty nieszczęsnej, która się *bawiącą panną*
nazywa. *Całe życie biedna* Kraszewskiego, to o-
braz życia rezydentki ubogiej, na łasce u bo-
gatyh krewnych bawiącej. Miała ona wszystko
co Bóg może dać na szczęście życia kobiety: mia-
ła urodę, dobroć, polot myśli górniejszej, zamidowa-
nie piękna i wiarę w dobro, przecież nie z tych skar-
bów łaski bożej nie ubogaciło jej życia, nie rozświe-
ciło go, nie uchroniło od nędzy i poniżeń najokrutniej-
szych, bo zdeptana przez samowolę innych, jak bied-
na trawka przydróżna, *bawiąca panna* zatraciła
w sobie najszlachetniejsze przymioty człowieka: wo-
lę wolną, opór przed złem i zdolność czynu samo-
istnego.

Całe życie biedna nie mogła rozwinąć w po-
łożeniu swoim tych wyższych władz ducha, a że po-
łożenie to przyjęła, poddała mu się i faktycznie przy-
stała na nie, władze te musiały się w niej zatracić,
jak lewa ręka zatracza zdolność ruchu zręcznego i nie
szczęśliwa nie mogła już potem zdobyć sobie wśród
ludzi praw należnych osobistości swojej. Dla tego
też pozostała całe życie biedną!..

Kraszewski nieraz jeszcze, a zawsze z litością
ogromną, ukazuje w galerii postaci innych, sylwetkę
bawiącej panny. *Kopciuszek* to jeszcze ona, i ona
jeszcze zjawia się gdzieś indziej, cień bolesny niebo-
gi już podstarzałej, z podwiązaną wiecznie twarzą
boliącą zmaczaną w szafranie chusteczką na szyi, któ-
ra ma tej biednej, pomarszczonej szyi żółtość wyciąg-
nąć. Przy takim obrazie trzeba się mimowoli przez-
łzy rozśmiać, ale w życiu niech nikt pod karą naj-
cięższego grzechu serca, nie zażartuje ani głośno, ani
cicho nawet, z takich istot nieszczęsnych, choćby
śmiesznych w pozorze, nietrafnych w obejściu, nie-
śmiałych do włosa siwego a które najczęściej do wło-
sa siwego chowają w zakątku serca nadzieje, nie zi-
szczone przez młodość, która zapomniawszy być wiosną
bo nie była porą rozkwitu, ciepła, blasku—nie mia-
ła ani jednego promyka który by można nazwać sło-
necznością życia. Do istnienia takich to istot nieszc-
zęśliwych można odnieść owe pytanie postawio-
ne Bogu:

Z niezerwanych nigdy kwiatów wonią,
Z niekochanej nigdy piersi biciem,
Ze łzą, której oczy nie uronia,
Z niebudzonej Galatei życiem,
Z nie wcielonym nigdy ideałem,
Z jawą marzeń co się nie wysniły,
Z iskrą, co się nie stała zapalem,
Z życiem, które weszło w głąb mogiły,
I z pacierzem co nie doszedł nieba,
Z nadziejami które wiatr rozwieje,
Z żalem, który wiecznie chować trzeba,
Co się dzieje Boże? Co się dzieje?...

Dzieje się z tem wszystkiem ta mianowicie rzecz
bolesna, że są między nami stworzenia *całe życie bie-
dne*, istoty które nie zaznają przez życie całe ani mło-
dości, ani miłości prawdziwej, których życie niema
nigdy święta, niema żadnych wesołych uciech, ża-
dnych słodkich pociech kobiecego istnienia, bo według
starego przysłowia: pan ich wziąć nie chce a służa
nie śmie. To też najczęściej przechodzą zwolna,

niepostrzeżenie z wieku cichych snów i rojeń lę-
kliwych, w głuchy, bolesny stan starego panień-
stwa, którego nie, bo nawet żadne wspomnienie szczę-
ścia nie ratuje od najboleśniejszego pod słońcem stan-
nu próżni, samotności serca, złączonej z poniżającym
zafukaniem myśli, to tylko pojąć zdolnej, że trzeba
się o łaskę ludzką wciąż starać, i nigdy nie kosztu-
jąc spoczynku, nie używając powagi wieku, drząc
na myśl starości późniejszej jeszcze, niemocy, osła-
bnięcia takiego, w którym rzeczywiście już tylko łas-
ka ludzka ratować nas musi.

Bawiące panny nie dla tego najczęściej staremi
pannami zostają, że ubogie, że nieposażne, bo chwa-
ła Bogu widzimy codziennie, że bardzo wiele ubogich
nieposażnych panien za mąż wychodzi, ale dla tego,
że w fałszywym położeniu swoim, znikają niemal
z horyzontu życia, z tego rzeź można gruntu na któ-
rym związki serdeczne kojarzyć się mogą. Gdyby ta
uboga panna bawiąca, była panną jawnie i śmia-
ło pracującą, gdyby rozwinięła wesoło działalność
obranego zawodu, wtedy osobistość jej wystąpi-
łaby niejako na scenę życia czynną, charakter by
się zarysował, kształt moralny stałby się skończonym
i wyraźnym, a zamiast nikłego profilu, który za ledwie
dostrzegać można po za cieniem osób innych, zawsze
na pierwszym planie przed nią umieszczonych, wysta-
piłaby na jasność dnia białego istota ludzka w takiej
już urodzie swojej, w takim jej wdzięku i powabie,
jakimi Bóg ją obdarzył a życie rozwinąć pozwoliło.
To też zdołała by jak każda inna stać się miłą czy-
jemuś oku, drogą czyjemuś sercu, upragnioną czyje-
goś życia towarzyszką i pomocnicą. A nawet zosta-
jąc samotną miałaby po za sobą życie przeżyte natu-
ralnie, charakter naturalnie wyrobiony, więc władze,
myśli i uczucia normalnie rozwinięte i ukształcone
prawidłowo do bytu o siłach własnych. Niejedno
serce smutne bije w piersi kobiecej, niejedna istota
ludzka nie wyciągnęła losu szczęścia z pod zawodne-
go koła fortuny, ale kto przeżył życie według prze-
znaczonej człowiekowi normy, ma zawsze coś na
życia tego pociechę; jeżeli nie pozyskane sobie przy-
wiązanie jakieś, które go ze światem łączy, to jakaś
idea, która się wiąże z przeszłością jego pracy, z ide-
ałem ku któremu czynnie w życiu dążył. Ale cóż
może mieć ten, kto nigdy nawet stałego gruntu pod
nogami nie miał, bo słowo: „bawić gdzieś“ znaczy:
przebywać tam chwilowo, jest to więc określenie tem-
czasowości, stanu przejściowego, który zatem nigdy
być nie może zawodem życia.

Więc też każda rezydentka, każda osoba bawiąca
musi sobie koniecznie postawić dwa pytania: — Na
jak długo godzi się z położeniem swoim, przez wyj-
ście jakie zmierza mu koniec położyc? Życie jest
niewątpliwie jak podróz: trzeba nieuniknienie wie-
dzić, gdzie dążymy, abyśmy krokiem naszym jaki-
kolwiek kierunek dać mogli. Inaczej oddajemy się
pod panowanie mocy ślepej, puszczamy się z biegiem
przypadku i nie znaczy to wcale liczyć na opatrz-
ność. Ta opatrzność właśnie—łaska Boża, dała nam
rozum i wolę wolną, opatrzyła przed wiekami jak-
kiem na zasadzie dobra i piękna chce mieć przeznac-
zenie człowieka i uzdolniła go odpowiednio. Opatrz-
ność jest w istocie Boskiej przymiotem takim, jakie-
mu w duchu ludzkim, który jest iskrą ducha Boże-
go, odpowiada przewidująca myśl o przyszłości—
przezorność rozumna.

Kto więc rozumie przyszłość swą opatrzy przez
dobrą pracę chwili obecnej, ten dopiero ma prawo do
łaski Bożej się odwołać i przyszłość swoją spokojnie
pod straż tej łaski oddać, czuć się w łaski tej stanie.
Wszakże lenistwo, które jest ospałą ducha ociężało-
ścią, liczy się w nauce chrześcijańskich obowiązków,
do śmiertelnych ducha grzechów.

Ale ktoś mi powiedzieć może, że owa tak dziś okrzy-
czana rezydentka, osoba bawiąca, nie potrzebuje być
koniecznie istotą bierną i zwicniętą w natural-
nym przeznaczeniu ludzkich rozwoju. Że często wciela
się ona w rodzinę i związek uczucia, zastępując bliź-
szy krwi węzeł, zespala ją z rodziną tej członkami
przyjaźnią trwałą i szacunkiem szczerym, wreszcie
zasługą tak dla domowego ogniska położoną, że ogni-
sko to stają się już ogniskiem wspólnym. Może mi to
ktoś powiedzieć i przytoczyć nawet bardzo wiele przy-
kładów takich, szczególnie z rodzinnej historii prze-
szłości czerpanych, a ja nie przecząc temu wcale uznam,
że tak być może w najlepszym zbiegu okoliczności,
to jest w najszcześniejszym zetknięciu się z sobą oso-
bistości dobrych i rozumnych. A nawet dodam wię-

cej. Osoba przez wyższe wychowanie, więc wyższe
wyrobienie moralne na większe zaufanie zasługująca,
przez pewne podobieństwo gustów i przekonań do
pani domu zbliżona, jednym słowem osoba z tej sa-
mej warstwy społecznej do jakiej należy rodzina, mo-
że przez pomoc swoją oddawać tej rodzinie usługi
ważne bardzo, w dwóch szczególniejszych momentach.
Kiedy matkę młodą, zaczynając obarczać dzieci drobne,
lub kiedy późniejsza starość często już bezdzietna,
opieki tkliwszej potrzebuje. Wtedy sierota, która
matki nie ma; samotna, której smutno żyć bez rodzi-
ny, może znaleźć ognisko domowe gdzie jej sercu cie-
plej będzie niż w życiu pracy odosobnionej, a gdzie
ta praca dla potrzeb rodziny i domowego gospodar-
stwa łączona, może być wysoce użyteczną drugą,
a jej bynajmniej nie przykra, to jest nie przykrejszą,
nie uciążliwszą od zajęć i czynności, którychby dla
koniecznego zarobku w kierunku innym dokonywać
musiała. Może tak być powtarzam, i to nie oblicza-
jąc rzeczy na najlepszą, na doskonałość wyjątko-
wą, czego nie można czynić, ogarniając myślą życia
koło szersze, i potrzeba na to rzeczy jednej tylko—
aby stosunek określił się i uregulował, aby fałszywy
wstyd pracy nie przychodził go maskować, a prze-
ciwnie, aby praca podjęta jawnie i śmiało, tytuł obo-
wiązku i obowiązku warunki w spokojnej godności
przyjęła.

Wszak na takiej zasadzie wchodzi w rodzinę na-
uczycielka, a przecież gdzie tylko z jednej strony
nie ma przesady pychy barbarzyńskiej, a z drugiej
jest sumienne powinności swej wypełnianie, istnieje
uznanie i szacunek wzajemny, trwa harmonia nie
zakłócona i nie w powołaniu nauczycielki nienatu-
ralnie smutnego nie ma. Tak więc byłoby mogło
z drugą rodziną pomocnicą: z wyręczytelką matki
tej rodziny, z alter ego pani domu, z jej „prawą ręką“,
jak się mówi w języku powszednim. Mogłoby
tak być w porządku i najpiękniejszym rozwoju mo-
ralnym bez ujmy, bez uszczerbku żadnego dla czy-
jącej godności osobistej, byle tylko ta godność umiała
zakładając obwarować się dobrze. Nie jest to bynaj-
mniej czerem morałem, formułą konwencyonalną, że
nie stanowisko człowieka, ale człowiek stanowisko
czyni, to też pospolita dziś czynność prowadzenia
ładu domowego, utrzymywania materialnego dobro-
bytu rodziny, przestała-by być pospolitą i niską,
gdyby osoby, prowadzące ten dział pracy, podniosły
zajęcia owe — ważne nie tylko względnie do ekono-
mii domowej, ale i społecznego gospodarstwa kraju
— nad pospolitość i rutynę lichą, jaka im dziś prze-
wodniczy, gdyby podparły je odpowiednią do dzi-
siejszego postępu nauką i same podniosły się przez
to osobiście, tak w znaczeniu pracy swojej, jak
w moralnej osób swoich dostojności. Czyby taka
osoba nosiła prostą dziś nazwę gospodyni, klucznicy,
czy używając wyrażenia litewskiego, a przy podnie-
sionej rzeczy naturze, według mnie najlepszego —
nazwę ochmistrzyni, byłaby to nie mniej postać,
w takich zarysach na tle rodzinnego życia występu-
jąca, że mogłaby pozostać w hierarchii towarzyskiej
na tym samym, a podług mnie i zasad moich, na
wyższym wiele szczeblu, niż go dziś ma rezydentka,
osoba bawiąca, na szczeblu, jaki obecnie zajmuje na-
uczycielka, czyli na stopniu równości moralnej
z członkami rodziny, wśród której-by przebywała.
Byłby to nawet przy dzisiejszej kłopotliwej kwestii
pracy kobiecej, jeden zawód więcej, otwarty dla ko-
biety z tej warstwy społecznej, dla której wyszuka-
nie owej pracy jest najtrudniejszym i stanowi może
główny teże kwestii węzeł.

Zawód ten nowy wymagałby od kobiety takiego
naukowego uzdolnienia w gospodarstwie kobiecym,
jaki dobry agronom powinien posiadać w gospodar-
stwie męzkim. Ogrodnictwo, sadownictwo, racyo-
nalnie prowadzony chów drobiu i zwierząt domo-
wych, przerób mleczawy, przedziwa, a kto wie, czy
nie jedwabnictwo, pszczelarstwo w dział ten wcho-
dzić powinno. Powinna w niego wchodzić nauka
ekonomii domowej, prowadzenia porządku rachun-
kowości, znajomość robót kobiecych, towarzystwa
odnośnego do potrzeb domowych, sztuki gotowa-
nia — co niech nikogo nie obraża, bo w Kesington
Museum, gdzie kobiety londyńskie mają urządzone
takim samym sposobem, jak w Lyceum Wiktorya,
jaki w zakładzie D-ra Baranieckiego, który Bogu
dzięki otworzył się znowu, wykłady prawie uniwer-
syteckie, istnieje swoją drogą przy dziale gospodar-
stwa domowego, kurs nauki gotowania, wykładany

przez M. Buckmaster, 'ktorego obecnie słuca 360 kobiet. Dobra i nie powierzchowna znajomość higieny, także tu umieszczoną być powinna, a skoro by cały ten zakres wiadomości oparty był na podstawie naukowej w umiejętnościach przyrodniczych, w chemii, fizyce, botanice, cała umysłowość tak wykształconej osoby, musiała-by z konieczności podnieść się o tyle, żeby jej nikt nie śmiał, ani mógł nawet stracić na takie miejsce nizkie, jakie dziś zajmuje prosta i kilkaset złotych płatna gospodyni.

Ze taka, na nowych warunkach postawiona pomocnica pani domu i matki rodziny, mogłaby by być dla tej rodziny wysoce użyteczną, chyba do wodzić nie trzeba, że zaś byłaby licznie poszukiwaną, prawie ręczyć można i powtórzę raz jeszcze, że byłby to dla kobiety nie bogatej klas wyższych, dobrze przetworzony zawód pracy szczęśliwej, w której nie tracąc nic na godności osobistej, na niezawisłości, drogiej każdemu człowiekowi, zyskała-by to, co rzadko która praca zarobkowa kobiecie takiej zapewnia: ciepłe miejsce przy jakimś ognisku domowym, słodycz pożycia w kółku rodzinnem. A przyszedł-by tu jeszcze jeden zysk wielki — co niech nie będzie za żart przyjęte, gdyż mówię seryo zupełnie — zysk taki mianowicie, że osoba przygotowana w sposób tak praktyczny na pracowitą towarzyszkę życia pracowitego mężczyzny, znalazłaby prędzej niż inna wyciągając się ku niej dłoń mężką. Prócz uczucia miłości, które serca łączy, małżeństwo ma i drugą jeszcze stronę swoją: ma przedsobą tę powszednią pracę życia, która w tak ubogiem jak nasze społeczeństwie, jest rzemiosłem twardem i surowem. Ta która się do niej najumiejtniej przygotowuje, jest jedną stroną istoty swojej najlepiej przygotowaną na żonę i matkę, i gdy ją jakieś mężkie serce ukocha, już ukochaniu temu nie stanie na zawadzie słabość, nieradność i sztuczne, nie naturalne, chorobliwe wydelikatnienie kobiety, która jak cacko kosztowny tylko w kosztownem otoczeniu, w miękim próżnowaniu szczęśliwie istnieć może. Więc natura zdrowa, silna, rozumnie praktyczna, a tem zdrowiem, siłą, tym rozumem piękna i wdzięcznie jak kwiat we właściwym sobie gruncie kwitnąca, musi łatwiej niż inne zarobić sobie na to największe pod słońcem szczęście życia kobiety: na związek święty kochającej z kochającym. Za idealny obraz tak szczęśliwie pokierowanego życia młodej dziewczyny może posłużyć śliczna powiastka Bremerowej: *Kłótnia i zgoda*. Bohaterka zajmuje mniej więcej takie, jakiego plan skreśliłam, stanowisko wyższej gospodyni. Pracowita, skrzętna, praktyczna, nie rozbiiera się mimo to z wdzięku poezji i żywości uczuć serdecznych. Kocha dobro w szlachetnych porywach ducha, kocha piękno w piękności otaczającej ją przyrody, kocha przedewszystkiem i nadewszystko Szwecję, kraj swój rodzinny, kocha nakoniec swoją użyteczną i dobrą pracę, umie być w śród niej wesołą i powabnie ponętną, aż łaska Boża zsyła jej skarb jeden jeszcze: szlachetne serce mężkie, które jej daje nowe życie uczucia i ciche szczęście w małym domku własnym.

M. Ilnicka.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Dziatwa pogarnęła się biegiem, konwojując podróżnych i nie przestając wydawać okrzyków, które się zmieniły w chór piskliwy, brzmący najprzód wyrazem jednym „kokona“ (dama) i rozłożony — następnie na wyrazy inne, zaczerpnięte ze słownika drwin i obelg. Chór nie miał w sobie nic harmonijnego. Dzieciaki, wyprzedzając jedne drugie, tłoczyły się i krzyczały:

— Kokona!... giawrlar!...

Było to wycie i skowyczenie, na które bakalin, tiutiundzi, ekmekdzi i hałwadzi stanęli na progach kramów swoich a baba-Mussa otworzył okienko i po raz pierwszy od czasów niepamiętnych wystawił w niem głowę swoją zwróconą nie uchem a nosem i oczami. Tamci przypatrywali się, ten zaś spojrzął przelotnie i okienko zamknął. Nikt prześladowanym na pomoc nie spieszył. Pomoc atoli znalazła się w nich samych. Anglik zwrócił się nagie ku dzieciom z łaską do góry podniesioną, spojrzął groźnie, słów kilka głośno przemówił i te przerażone, wstec się rzuciły, wywracając jedno drugie, i pierchły przez całą długość rynku, aż do dżamii, pod którą zatrzymały się w przekonaniu że groźny giawrlar ścigać ich tam nie będzie. Zwróciły się i znów ruszyły, lecz podróżnych naszych na placu już nie było. Znikli w jednej z ulic bocznych.

Doktorowa szła szybkim krokiem uwlekając męża za sobą. Biegłaby, tak jej było spieszo. Przez lat dziesięć nie widziała ojca i matki, i gdy się w Zarnicy znalazła, ten długi czasu przeciąg wydał się jej jakby długiem, względem którego ona znajdowała się w roli wierzycielki, spieszącej po odebranie zaległych odsetków. Rolę kapitału odegrały tu uściski i pieszczoty rodzicielskie, których się przed laty pozbawiła. Spieszyła do nich niby lichwiarz. Serce jej się w piersi rozbijało, w gardle doznawała ścieśnienia, w oczach czuła ogień.

— Mój ojczel... matko moja!... — powtarzała sobie w duchu.

I... ach!... — krzyknęła.

Rękę mężowi wydarła, pobiegła kroków kilkanaście i znikła za furtką domu, wystającego na ulicę ścianą, w której na piętrze widzieć się dawał krużganek zabudowany i okna drewnianymi opatrzone kratami.

Doktor przed furtką zatrzymał się i [do Anglika zwrócił.

Na twarzy doktora widać było wzruszenie, które jednak powściągnął; uśmiechnął się i przemówił:

— Zatrzymamy się tu na chwilkę. Niech ta scena odbędzie się za kulisami.

All right — odparł Anglik, stawiając łaskę przed sobą i opierając się dłońmi obiema na takowej.

Jeden Stojan pospieszył za siostrą, niebawem jednak wyszedł i rzuciwszy szwagrowi wyrazy:

— Ona płacze i starzy płaczą.

Bramę otwierał dla wprowadzenia na podwórze wozów.

Wraz z wozami weszli i podróżni nasi.

Anglik z ciekawością niejaką rozpatrywać się począł we wnętrzu obejścia miejskiego. Naśladować dobry ten przykład i my się rozpatrzmy w takowem. Brama zamykała się tak szczelnie, iż, przez żadną szparę nawet, nie można by na podwórze spojrzeć z ulicy.

Podwórze domu starego Szumlańskiego nie zajmowało przestrzeni znacznej. Zacieśniały je do koła zabudowania różne, po większej części piętrowe, z których jedno miały minę pomieszkań, inne wyglądały na składy, inne znów przedstawiały pozór warsztatów. W jednym z rogów znajdowała się studnia, a nieopodal od studni piec ze wstawionym weń alembikiem. Jedne z budynków wysuwały się naprzód, inne znów cofały się w głąb i zdawało się jakby nie stanowiły ciągu jednego, a raczej labirynt o poplątanych rozmaicie przesmykach. Na prawo, bokiem do ulicy przylegając, wznosił się dom drewniany, do środka którego prowadziły schody kryte i który oprócz wejścia głównego, posiadał jeszcze wyjście i wejście kilka mniej lub więcej zamaskowanych. Zdawało się nawet, że okien parę bocznych, służyły i jako okna i jako drzwi.

Izby pomieszkalne znajdowały się na dole i na górze. Rozkład wewnętrzny domu był, że się tak wyrazimy, zagmatwany i jedna tylko izba prezentowała się wyraźnie, a to izba gościnną, tak zwany *musafirlyk* czyli *salambik*, do którego z sieni prowadziły drzwi, otwierające się na prawo. Do innych trafić było trudno, a trudność pochodziła ztąd, że ściany sieni wyglądały jak szafy, ustawione jedna obok drugiej, śród których znajdowały się trudne do rozpoznania wejścia do komnat wewnętrznych. Na wzór ten i ściany komnat przedstawiały się pod postacią szaf. Były to szafy rzeczywiste, ale w każdej z nich prawie znajdowało się przejście tajemne; komunikacja zaś pomiędzy izbami trudną była do odkrycia temu,

co nie znał tajemnic, co nie posiadał klucza, za pomocą którego rozwiązywał by zagadkę otworów maskowanych z widocznie wielką starannością. Umeblowanie nie różniło się niczem od umeblowania domów tureckich: na podłodze kobierce lub rogoże, pod ścianami dokoła dywany, oto wszystko, pokój gościnny nie różnił się pod tym względem od mieszkalnych, jadalnych i sypialnych, we wszystkich sprzęty były jedne i te same, a odmiana jedyńca zależała na kolorze i gatunku obić, pokrywających dywany i poduszki.

Drzwi główne wchodowe otaczała i osłaniała, w kształcie altany ułożona, szerokolistna winna latarośl.

Z po za zabudowań podwórzowych przeglądały drzewa znamionujące ogród, do którego wejście przedstawiało się jako zagadka do rozwiązania, tak że wydawać się mogło, iż ogród ten nie należy do domu Szumlańskiego.

Scena za kulisami trwała długo. Harabadzije wypróżnili wozy, doktor obrachował się i rozplacił z niemi, oni wyjechali, Stojan bramę zamknął i dopiero ukazał się na progu wejścia głównego starzec, ubrany z turecka tylko w odzieży koloru czarnego, w fezie bez kutasa na głowie, z fajką na długim w bursztyn ozdobionym cybuchu w ręku. Broda i policzki ogolone, wasy siwe podstrzyżone, postawa poważna. Ukazał się na progu i wnet ku niemu podszedł doktor.

— Tyś mój zięć? — przemówił starzec.

Doktor, za odpowiedź całą, pochylił się mu ku ramieniu lewemu. Uściskali się.

— Nie znaliśmy się, alem ja o tobie słyshał — rzekł starzec. Znałem cię więc.

— Poznamy się bliżej, ojcz — zaczął doktor.

Teś jednak przerwał mu.

— Tyś u mnie i gość i nie gość — rzekł. — Ale jest tu gość prawdziwy, któremu się odemnie pozdrowienie i przyjęcie pod dachem moim należy.

— Gość ten, jest kolega mój i przyjaciel. Oto on — odparł doktor ukazując na Anglika. Mister William Wayton, Anglik, towarzyszący nam w celu poznania narodu naszego.

— Niechże mu będzie pomiędzy nami słodko i miło. Powiedz mu to, bo ja ponoś z nim się rozmawiać nie potrafię.

Doktor powtórzył słowa teścia.

Mister Wayton ukłonił się i rękę starcowi podał.

— Niech tylko nie będzie wymagającym i przyjmie gościnność naszą z pobłażaniem, w tem przekonaniu, że mu ją ofiarujemy sercem szczerem.

— Uprzedzony on już po części i wie, że obyczaj i zwyczaj nasze różnią się od angielskich.

— To dobrze. Prowadź-że go do musafirlyku, na dywanie posadz i poprosz go, ażeby nam wybaczył, żem od razu na spotkanie jego nie wyszedł. Nie widziałem Maricy lat tyle. Gdy mi się ukazała, zapomniałem o świecie bożym, a nie dopiero o obowiązkach gospodarza. Powiedz mu to. Niech z ust jego własnych usłyszę, że mi zapomnienie wybaczca.

Mister Wayton odpowiedział, co odpowiedzieć należało. Starzec przyjął odpowiedź jego z widocznym zadowoleniem i prowadził go po schodach do izby gościnnej.

— Oto miejsce poczesne... siadaj, gościu.

Anglik usiadł i poddać się musiał operacji całkowitej za pomocą której wyraża się gościnność na Wschodzie. Przyniesiono mu wody do obmycia oblicza i nóg. Woda w dzbanku miedzianym, pobielanym, ze smukłą szyjką i z misternie rzeźbionem uszkiem; miednica także miedziana, pobielana z nakrywą w taki wyrzynany sposób, ażeby przez nią woda przesiąkała; na wierzchu nakrywy mydło; do obcierania się ręczniki białe, z frenzlami i wyszywane. Mister Wayton nie wiedziałby, co z tem robić, gdyby mu doktor przykładał nie dawał. Doktor się umył i on się umył; doktor usiadł w głębi dywanu, opierając się o poduszki i on to samo uczynił, tylko nie umiał nóg pod siebie podgiąć.

— Czuję od wody świeżej błogosć w sobie, ale... *goddam!*... nie wiem co z nogami zrobić. Gdzie je podzić?... Zdaje mi się, że natura dała mi te członki, albo za długie, albo za sztywne. Co ty robisz, żeś je tak dobrze ułożył?

— Zależy to od wyłamania nóg — odparł doktor — do tego się potrzeba od dzieciństwa przyzwyczajać.

— Jak do sztuk łamanych?

Doktor odpowiedział potwierdzająco i chciał jeszcze coś mówić, lecz przeszkodziło mu wejście do izby młodej kobiety z tacą w ręku i z ustawionymi na takowej szklankami z wodą i słoikami z konfiturami. Kobieta przystąpiła wprost do Anglika i tacę mu podała. Ten nie wiedział co począć. Wziął za tacę lecz kobieta usunęła mu takową i znów podała. Wziął do ręki słoik i zwrócił się z nim do doktora, spoglądając na niego wzrokiem pytającym.

— Masz tam łyżeczki—odpowiedział zapytany.

— Anglik wziął jedną z łyżeczek.

— Zaczepnij konfitur, włóż do ust i wodą popij. Zaczepnął, do ust włożył i popił.

— Postaw szklankę na tacy.

Anglik zrobiwszy to ostatnie, podziękował kobiecie, która się zapłoniła i z tacą do doktora zwróciła.

— Podziękowaniem zmieszales małżonkę szwagra mego. U nas nie dziękuje się za nic nikomu, mianowicie zaś niewiastom, uważanym za istoty niższe, stworzone do posługi istotom wyższym, jakimi są mężczyźni.

— Wiem o tem—odparł Anglik. Zdawało mi się jednak, że prosta grzeczność nakazuje za usługę głową bodaj kiwnąć.

— Grzeczność jest to moneta zdawkowa na Wschodzie nieznaną. Gościnność praktykuje się i przyjmuje, jak powinność.

Po konfiturach nastąpiła kawa i fajki. Te niósł mężczyzna lat średnich, w ogólnych rysach oblicza mający podobieństwo familijne ze starym Szumlańskim i ze Stojanem. Był to tego ostatniego brat starszy, Aleksander, o którym z rozdziałów poprzednich wiemy że się w Odessie kształcił. Gdy kawę podano doktorowi, zamienił z nim wyrazów kilka pozdrowienia. Nie znali się przed tem. Na Aleksandrze Szumlańskim nie znać było wychowania zagranicznego, pomimo że w Odessie spędził lat kilka. Powrócił jednak od czasu dawniejszego, ożenił się i ojcu w prowadzeniu rzemiosła i handlu pomagał. Był to ten sam, którego imię i nazwisko, w błąd wprowadziwszy urzędnika na dworcu kolei żelaznej w Bazyasz, oszczędziło Stojanowi następstw nieprzyjemnych, jakich omal nie ściągnęło na niego nieprzyzwoite i dziwaczne zachowywanie się jego w miejscu publicznym.

Gdy gościom nogi umyto, gdy im *tatly* z wodą i kawę z fajką podano, pozostawiono ich samym sobie, co starzec wyraził giestem odpowiednim, którego znaczenia Mister Wayton nie zrozumiał. Stary Szumlański kiwnął do niego dłonią i głową. Anglik odpowiadał mu kiwaniem podobnym, zapytując, doktora:

— Co to znaczy?...

— To znaczy, że teść mój wzywa ciebie, ażebyś po podróży czynił *rahat*... Odpoczywaj.

— Kiedyż ja się zmęczonym nie czuję.

— To nic. Spoczywanie ustawiczne jest u nas stanem normalnym; potrzeba, żebyś się zastosował do tego.

Anglik, chcąc nie chcąc, stosować się musiał. Siedział, fajkę palił i o niebieskich marzył migdałach. Obok niego, opodal nieco, siedział starzec, po drugiej zaś stronie, doktor.

Czas upływał. W domu panowała cisza, Anglikowi nudzić się i na sen zbierać począł, gdy monotonna sytuacja przerwała wejście człowieka obcego. Przybysz u proga trzewiki zrzucił, fez na głowie poprawił, do starca głową kiwnął i obok niego usiadł. Był to człowiek wyglądający na lat trzydzięci z górą, kształtny, przystojny, cery śniadej, włosów czarności kruczej, ubrany na pół po europejsku. Przyszedł z fajką i kapecinchem w ręku. Usiadłszy, natychmiast fajkę nakładać począł. Starzec mu swój podał kapecinch, dając przez to znać że życzy sobie ażeby w domu jego gość swego nie palił tytoniu. Jest to jeden ze sposobów, którym się gościnność wyraża. Gość jednak ręką machnął, uśmiechnął się i rzekł:

— Studnia nie na to jest studnią, ażeby w nią wodę wlewano, ale na to, ażeby z niej czerpano.

— Prawda—odparł starzec i nie nalegał więcej.

Przybysz fajkę nałożył, ognia do cyru wykrzeszał, zakurzył, zaciągnął się i odezwał:

— Dał ci Bóg gości?

— Tak. Przyjechał zięć mój z córką i *czelak* jeden cudzoziemski.

Przybysz fajkę palił czas niejaki w milczeniu i znów zapytał:

— I z jakiegoż to kraju *czelak*?

— *Ingiliz*...

— A... *Ingiliz*... Mówi po naszymu?

— Nie.

— Jakże się ty z nim porozumiewasz?

— Porozumiewa się z nim zięć mój.

— Cóż to za jeden? Czy to konsul jaki?

— Bóg to wie. Ja nie wiem. Gość i dosyć. Ja się gościa nie pytam, co on za jeden!

Przybysz znów przez czas jakiś palił fajkę w milczeniu i znów zapytał:

— Zięć twój, to chyba ten, co tam dalej siedzi?

— Tak.

— A ten drugi, to *Ingiliz*?

— Tak.

— I on *nie rozbira hycz* tego, co ja z tobą mówię?

— Zdaje się, nie.

— To zapytaj-że zięcia twego, co to za jeden.

— Turysta—odrzekł doktor dobitnie, chcąc zaspokoić ciekawość przybysza.

Wyraz „turysta“ wpadł temu ostatniemu w ucho, jak coś niespodzianego a zadziwiającego. Spojrzał na starego Szumlańskiego, popatrzył na doktora, rzucił okiem z podłoba na Anglika, mierząc go od stóp do głów i w zadumie utonął; palił fajkę po maleńku i powtarzał sobie półgłosem od czasu do czasu:

— Turysta.

Głową kiwał i brwiami mrugał, jakby na rozum brał.

— Turysta.... hm?

Spoglądał na Anglika z boku i medytował. Tak przeszło chwil kilka, po upływie których przybysz znów starego zaczepił.

— A nie można by powiedzieć jemu, że ja Grek, że mieszkam w Zarnicy i mam sklep z tytoniem na *czar-szi*?...

— Czemu nie. Mój zięć może mu to powiedzieć.

— Niechże powie.

Doktor zakomunikował wiadomość tę Anglikowi, który ją przyjął z obojętnością jak najzupełniejszą.

— Powiedz jemu jeszcze — dodał Grek, składając razem palce ukazujące ręk obydwóch i trąc jeden o drugi — że Anglik i Grek *barabar*... *kardasz*.... i nie masz na świecie, jak Grek i Anglik.

Doktor, z uśmiechem odpowiednim, powtórzył to Anglikowi, który zrobił minę oznaczającą, iż słowa Greka nie pochlebiają mu wcale.

— Turysta? — powtórzył sobie Grek pod nosem i zwracając mowę do starca, zapytał:

— No, a zięć twój?

— Zięć mój... nazywa się Manułaki Stanko.

— Handlarz?... rzemieślnik?...

— *Hekim-baszi*...

— Tu zostaje? czy gdzie dalej jedzie?... czy powraca z kąd przybył?...

— Przybyłem w zamiarze pozostania — odpowiedział doktor.

Grek głową pokręcił i zmierzył doktora spojrzeniem długim i przenikliwym, jakby zbadać go chciał z zewnątrz i wewnątrz.

— Pozostajesz?... hm?...

A z oka doktora nie spuszczać, przemówił do niego po grecku.

— Rozumiem po grecku—odpowiedział zaczepiony—ale w mówieniu tym językiem wprawę straciłem, nie mówiąc nim przez lat blisko piętnaście.

— Hm?—Grek na to. Widziałem paki, które ze sobą przywiozłeś, zapewne dugianę otworzysz....

Doktor zrobił minę taką, jakby odpowiedzieć chciał iż nie ma jeszcze postanowienia powziętego.

Grek znów głową pokręcił, posiedział jeszcze trochę, zamienił ze starym Szumlańskim frazesów parę obojętnych i odszedł.

Starzec głową pokiwał i uśmiechnął się znacząco, gdy gość na ulicę wyszedł.

Doktor spojrzał na teścia z wyrazem zapytania w oczach.

— A... odrzekł stary, ręką machnąwszy. Byłem pewny, że przyjdzie... Jest on mudira okiem i uchem... Prosto ztąd do konaku poszedł.

— Cóż on?

— Grek...

I ścisnął stary ramionami.

— *Tiutiundzi*?

— On i *tiutiundzi*, i członek *mizliszu*, i *czorbadzi* na greckiej *mahale*. Bez niego obchodzić się nie umie

żaden *mudir* i żaden *kady*. *Mudiriowie* i *kadowie* zmieniają się, a on zawsze jeden.

— Zapewne i w poborze podatków udział bierze?

— A bierze... W spółce z innymi Grekami podzierzawi i haracz i dziesięcinę kościelną. Al... zakończył stary, machnąwszy wyraziście ręką.

— Jakże się nazywa ten dostojny członek gminy zarnickiej?—zapytał doktor po chwili milczenia.

— Kir Michałaki... Przywędrował tu lat temu z dziesięć, jeżeli nie więcej.

— Ma rodzinę?

— Matkę starą, brata młodszego, siostrę i jeszcze tam kogoś... no... i...

Tu stary się zaciął, jakby wyrazu następującego wymówić nie chciał lub nie mógł. Doktor się na teścia patrzył i czekał. Starzec przeto, odchrząknąwszy, dodał:

— I chciałby się ożenić...

Doktor nie zadawał dalej zapytań, domyślając się snadź, że takowe teściowi do gustu nie przypadają. Zresztą nie była i pora po temu. Wkrótce po odejściu Greka, wniesiono do izby białym nakrytą obrusem *trapez*, niziutki krągły stolik i postawiono go pomiędzy Anglikiem a doktorem. Stolik wniosła ta sama kobieta, co przyniosła *tatly* z wodą, ale nie sama. Z nią weszła dziewczyna lat siedemnastu, smukła niby topola, gładka jak gazela, śliczna jak ideał poetyczny w kształty dziewicze ubrana. Weszła i zapłoniła się, spotkawszy się ze wzrokiem Anglika, który na nią surowe zwrócił spojrzenie i kaszlnął z przyciskiem. Kaszlnięcie to nie do niej się zapewne stosowało. Ona jednak za towarzyszkę się swoją schowała i tak manewrowała, iż się nią wciąż maskowała, pomagając jej w usługiwaniu gościom. Na stoliczku bowiem pojawił się najprzód chleb gorący na kawałki połamany, a za chlebem poszły dania w różnaitości wielkiej, właściwej kuchni wschodniej. Był tam pilaf, były tam *kiebawy*, *potrawki*, *zupy*, *zupki*, dania słodkie i kwaskowate, jarzyny nadziewane, potrawy korzenne i pieprzne, inne znów pachniące i smaku delikatnego, były i ciasta, i wina wyborowe, i *raki* (gorzałka) grzana. Anglik jadł, dziwiąc się obfitości i temu, że dam przy obiedzie nie było. Ale mu to doktor w dwóch wytłumaczył słowach:

— Taki zwyczaj.

Wyrazy te czarodziejski na Anglików wywierają wpływ. Mają one własność tłumaczenia im wszystkiego, co podziw wzbudza. Niemniej przeto, mister Wayton zwyczaju tego w duchu nie pochwałał. Zawadzała mu ta dziewczyna, co do stołu usługiwała, a bardziej jeszcze zawadzało mu to, że doktorowa uczy — była to bowiem uczyła prawdziwa w dwie osoby—nie podzielała.

VIII.

Co się pokazuje.

Nie umiemy jasno wytłumaczyć powodu, dla którego mister William Wayton do Zarnicy przyjechał i cały dzień w niej zabawił. Znanym jest niepokój, pędzący Anglików po świecie. Anglik, niby żyd wieczny, na tułaczkę skazany, ściga marę jakąś, która wciąż przed nim umyka. Popędza go niecierpliwość jakaś, jakaś żądza, której ten i ów nadaje kształty dotykalne, wyglądające często ultra-prozaicznie. Każdy czegoś szuka na drogach rozmaitych. Dlatego to żaden naród nie dostarcza dziwaków tylu, i żaden nie jest tak praktycznym, jak angielski. Mnóstwo dziwaków i ogrom praktyczności: są to dwie postacie, pod którymi przedstawia się naród angielski.

Czy mister Wayton był dziwakiem, czy też był to mąż praktyczny? — nie umiemy na zapytanie to odpowiedzieć. Podawał się za prostego, zwyczajnego turystę, który tak samo i dla tej samej racyi, co do Bulgarii, mógł być pojechać, na przykład, do Hiszpanii, na przylądek Dobrej-Nadziei, do środkowej Australii, do Chin, mógł szukać Liwingstona lub też udać się pod jeden z biegunów. Za takiego się podawał, a jednakże powiedzieć nie można, ażeby nie istniała pobudka jakaś, która go w Bałkany zawlekła. Pod tą skorupą turystowską coś się ukrywało. Przyjechał i odjeżdżał mu się nie chciało. Mógł być zastosować do siebie znany u nas dwuwiersz:

„A przyjechać do niej trudno,
A odjechać od niej nudno.“

Do niej? — czy oznaczało to: do Bulgarii? Może. Był przecie Bulgara przyjacielem. I zasmakował w Zarnicy, pomimo, że miał niejaki powody do nabrania do niej wstrętu. Z powodów tego rodzaju najpierwszym było towarzystwo, w którym lubować się nie mógł człowiek wykształcony; za tym szły nudy, które jednak bywają rozrywką dla ludzi, mających skłonność do spleenu. Nudy atoli, jakie Anglika naszego spotkała w Zarnicy, miały szczególny swój charakter z tego względu, że uakcentowała je troskliwość osobliwa, jaką otoczyła go władza miejscowa. Nazajutrz po przybyciu jego, o godzinie ósmej rano, przedstawił się mu mudir z całym personelem urzędowym i wytrzymał go trzy godziny; po mudirze zjawił się kadę; po tym ostatnim przyszedł bimbasza, dowodzący naczelnie konsystującem w Zarnicy wojskiem; bimbaszę zluźował paroch, zawiadujący cerkwią zarnicką i zajmujący w hierarchii kościelnej stanowisko odpowiadające stanowisku dziekana w hierarchii katolickiej, człek niemłody, Grek rodowity. Wizyty te zabrały czas do wieczora, i na pierwszy raz, jako nowość, nie były uroku pewnego pozbawione, zwłaszcza gdy doktor nie był obecnym. Doktor jeden na Zarnicę całą, posiadał znajomość języków, które Anglik władał, mógł zatem służyć za tłumacza. Gdy przeto był obecnym, mister Wayton porozumiewał się z gośćmi za jego pośrednictwem; bez niego zaś rozmowa szła na migi i płatała się w nieporozumieniach ustawicznych. Było to zabawne na pierwszy raz; lecz powtórzyło się na drugi dzień, powtórzyło się jeszcze na dzień trzeci i czwarty i piąty i nie znudziło a zniecierpliwilo Anglika, tem bardziej, że postrzegł iż atencje, jakimi go urzędowe figury otaczały, miały w sobie coś, co przekraczało granice grzeczności zwyczajnej.

— Co to znaczy? — zapytał doktora.

— Nic nie wiem — odparł zapytany.

— Czy nie biorą mnie oni za jaką figurę oficjalną?

— Być może.

— Powiadają im przecie, że prosty turysta.

— I ja im to powiadają.

— Zkądże ta natrętność! Chyba ja ich powyrzucam, gdy przyjdą.

— Nie czyni tego. Przeciwnie, bądź grzecznym, bo nam na tem zależy.

— A... to co innego.

Okazywał więc uprzejmość znudzoną mudirowi, kademu, bimbaszy i popa-Janakiemu, którzy dzień po dniu przechodzili jeden po drugim, jakby zadaniem ich było służyć pełnić przy cudzoziemcu. Uprzejmość znudzona, jak się zdaje, imponowała tym przedstawicielom ładu, sprawiedliwości i moralności publicznej. Okazywali uniżoność i gotowość do usług, jakby w rzeczy samej mister Wayton był figurą oficjalną. Miało to minę zagadkową: zagadkę zaś stary Szumlański rozwiązywał w ten sposób, że odnosił ją do kir-Michałakiego.

— On to sprawił — powiadał.

Był to domysł starego, nie pozbawiony podstawy ze względu na rolę, jaką tutej odgrywał. Domysł ten atoli nie wyjawiał powodów troskliwości oficjalnej, dla wyjaśnienia których wkroczyć musimy w sferę urzędową zarnicką, zabierając znajomość z Raszydem-effendim, urzędnikiem, podrzędnym we względnie hierarchicznym, lecz wysokim w odniesieniu do gminy miasteczka Zarnicy. Wysokość urzędnicza, w państwie jak tureckie, stosuje się ściśle do otaczającej ją sfery. Od mudira są starsi: mudir jednak, w ustawie swojej, jest najstarszy, najwyższy, jest panem i władzą nieograniczoną, faktycznie albowiem wszelkie ze strony oddanej dozoruwi jego ludności ścisnienie władzy odbywać by się musiało na drodze skargi, w której skarżący z góry mniej ma aniżeli oskarżony wiary.

Baszyd-effendi zakrawał nieco na wyznawcę zasad Młodej Turcyi, która ze swojej strony zakrawała na stronnictwo i znamionować się zdawała, że Turkom przecie może w głowach szumić. Była to jednak złudna mara. Młoda Turcyja, zakrojona na stronnictwo, w istocie rzeczy była koterją, formowaną na korzyść osobistości pewnych. Wyglądało to atoli na coś; miało to minę *czegós*, co nadawało posadzonym o należenie do mniemanego stronnictwa osobistościom pozór, inny aniżeli pozór przedstawicieli Turcyi sta-

rej. W istocie atoli rzeczy, było to samo. O młodej Turcyi w odniesieniu jej do starej, można by powiedzieć, co powiadali żydkowie kuglarze, zabawiający ludność po jarmarkach małomiasteczkowych; „ten sam sztuk, tylko na inszy manier.“ Raszyd-effendi różnił się od poprzedników swoich na posadzie mudira powierzchownością tylko: nosił odzież reformy, nie owijał głowy turbanem, nie golił łba i nakładał fez od niechcenia, przytem nie zachowywał przepisów religijnych, nie czuł wstrętu ani do wie-przowiny ani do wina i nie wiedział nic zgoła o żadnym stronnictwie Młodej Turcyi o którym, powiedziawszy nawiasowo, więcej wiedziano w Europie, aniżeli wśród ludności berłu sułtana podległych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Emancypowane. — Komedya w 3 aktach M. Bałuckiego.

Niepodobna mówiąc o komedyi tego tytułu, nie kilkoma choćby słowy niepomknąć samej kwestyi emancypacji. Od lat kilku zajmują się nią wszyscy prawie, najbardziej i najmniej interesowani, ci, którzy ją rozważali wszechstronnie, a mianowicie z rozpatrzeniem naszych potrzeb i stosunków, i ci, którzy zrobili się sami nieproszonymi lub przesadzonymi jej obrońcami. Zajęcie takie na pozór ołsniewa, na pozór także — twierdzimy śmiało — rozgrzewa walczących niby ze sobą, w rzeczy zaś samej jest tylko kłótnią o wiatr, szermierką więcej hałaśliwą aniżeli praktyczną. O cóż bowiem chodzi? czy o to, że ktoś wytworzył nowe reformy zasadnicze w stanowisku kobiet, a że ktoś inny takowym przeczy stanowczo w słowie i czynie, — czy o przypuszczenie kobiety do równości prawno-społecznej, czy nareszcie (co byłoby najważniejszym) o przypuszczenie jej do udziału w niektórych rodzajach pracy, którym dotąd wyłącznie oddawali się mężczyźni? Odpowiedź co do dwóch pierwszych punktów, o tyle jest łatwą i prostą, o ile o takich reformach zaszczerpionych na naszym gruncie drogą prawodawczą, czy choćby wyrobionych siłą ogólnych przekonań, nie dotąd nie wiemy; — stanowisku zaś wielce wpływowemu kobiet w naszym społeczeństwie i najupartyszy zaprzeczycyby nie śmiał. Pozostałby więc tylko trzeci punkt niezmiernie ważny, to jest: udział kobiety w pracy mężczyzn, a więc w zarobku, dającym jej samodzielność; z braku której bardzo często, popychana siłą fatalną konieczności, upadała moralnie lub ginęła w opiekanej nędzy. Powtarzamy, punkt to jedyny, nadzwyczaj ważny, nadzwyczaj blisko nas obchodzący, raz ze względów dopiero co wymienionych, a potem ze względów pedagogicznych, gdyż przysposobienie kobiety do twardej i trudnej pracy zarobkowej, zmieniliby z gruntu system wychowania. Na tem jednym polu, rozumielibyśmy zbawienność dyskusji i potworzenie się obozów *pro* i *contra*, bo z wychowaniem związane są najwyższe zagadnienia moralne jednostki i społeczeństw, a z dyskusji wywiązałyby się mogła rada szlachetna i praktyczna, którąby ogół nasz stanowczo poprzeć zdołał. Wielka szkoda, że właśnie co do tego punktu, znać dopiero zaledwie jakies usiłowania, które może rozwinęłyby się bujniej, gdyby im nie przeszkadzała powzięta *a priori* zasada, grzesząca jednostronnością, albo niemożebnym radykalizmem. Bądźco bądź jednak wszyscy, którzy się tu odzywają, czy sposobem odczytów publicznych czy drukowanego słowa, oddają przysługę ogółowi, przysługę zaliczoną im na karb dobra przyszłości.

Wszelkie zaś inne frazesy „o równo-uprawnieniu kobiety“, o „potrzebie wyzwolenia jej z powijaków krępujących ją przesądów“, o „danie jej głosu najzupełniej równego w prawach publicznych“, o „ucisku, jakiego doznają ze strony przywłaszczających sobie uzurpatorską władzę mężczyźni“, są czezą deklaracją, nie mającą żadnego związku z naszą teraźniejszością, a powtarzaną do oklepania chyba przez wyemancypowane w smutny sposób kobiety, lub przez smutniejszego jeszcze odcienia don-kiszotów. Że jednak zdarzają się takie indywidualia, które pię-

kniami hasłami równouprawnienia, a raczej wyzwolenia, chcą pokryć osobiste ciemne sprawy i namiętnie-gwałtowne zachcenia, o tem nikt nie wąpi, bo każdy zapewne nieraz w życiu z takimi się spotkał. Są to postacie wyjątkowe, nie wywierające przeważnego wpływu, ale często obalamujące słabe umysły. Zrywają one w dorywczych swych i lekkomyślnych zachceniach z przeszłością, zapominając, że kobiety nasze zostawiły nam z tej przeszłości piękną obyczajową kartę, na której tradycyjna cnota wypisana została niezmiernymi głoskami. Z tą też przeszłością każdego społeczeństwa, musi się liczyć każda rozumna reforma, jeżeli nie chce stawiać zamków na lodzie.

Czy pan Bałucki pisząc swą komedję, rozważał mniej lub więcej wszystkie te ujemne i dodatnie strony kwestyi kobiecej, o tem już na wstępie godzi się powątpiewać. Zdaje nam się bowiem, że pochwycił jedną tylko stronę, a właściwie drobny tylko jeden fakt, istotnie zaś jeden odcień poruszonego nagle zbyt gwałtownie prądu najwyższego kształcenia się kobiety, które dlatego dziś jeszcze musi być nie na czasie, że dotąd nie zaradono u nas potrzebie przygotowania się do tego najwyższego uniwersyteckiego wykształcenia. Pan Bałucki pochwycił jeden fakeik wyjazdu młodych kobiet na uniwersytet do Zurychu, i drugi jeszcze bardziej wyjątkowy: prelekcji publicznej, mianej przez uczoną niby i szerczącą światło na płeć swoją emancypantkę. Na tych dwóch, arey drobnych faktach, starał się wybudować cały gmach dla jednych stroniej lub śmiesznej, dla drugich ważnej emancypacji. Wprawdzie autor dał tytuł: „Emancypowane“, nie „Emancypacja“, więc zdawaćby się mogło, że mu chodzi o kilka tylko pojedynczych typów, lecz jak niepodobna mówić o malarzach jako takich, nie wspomniawszy o malarstwie, tak i tu nie podobna mówić o emancypowanych, nie mówiąc o samej emancypacji. Ztąd wyrodził się pewien fałszywy stosunek autora do przedmiotu, tem jeszcze niebezpieczniejszy, że zapędza autora do lokalizowania i portretowania kilku znajomych sobie figur, którym nie szczędzi grubego pokostu karykatury.

Kilkakrotnie pisząc już o komedjach pana Bałuckiego, przestrzegaliśmy przed zbyt niemię zagięciem się w ciasnym kółku najbliższego otoczenia, i przed przesadą w charakteryzacji, która się mści zawsze niepodobnieństwem karykatury. Pierwsze nie pozwoli mu sięgnąć głębiej, wyżej i dalej, dając jakby przykre świadectwo, że się nie zaopatrzył w obfitszy na przyszłość zapas duchowy; drugie niewczy fatalnie te zalety komedyo-pisarskie w panu Bałuckim, które niezaprzeczenie posiada. Zgodziwszy się na przykład, że istnieje taka pani archiwistka, nie umiemy jej, a przecież czytająca prelekcję, nie mająca żadnych przekonań ani idei, a przecież wojująca niemi dla modnego poklasku, wykrzykująca do rozdarcia uszów świetnie brzmiące, a najhaniańniej oklepiane frazesy, to zawsze będzie ona jednym tylko z najluźniejszych i najradszych odcieni emancypacji kobiet, i to nie dlatego, iżby nie było u nas fałszywych emancypantek, ale dlatego, że już dzisiaj i to muszą grać komedję, blagować lub imponować innym, rozsądniej, przywoleciej, a przynajmniej z pozorami nie rażącymi odrazu pierwszego lepszego. Na takich doświadczeniach zaledwo człowiek pozna się łatwo, na panią archiwistkę zaś, nawet jej własna pokojówka złapać się nie da. Nie inaczej rzecz się ma z jej towarzyszką panną Jadwigą, sylwetką tak blado narysowaną, tak nieprawdopodobnie ekscentryczną i wprost niedorzeczną, że jej całkiem inny tytuł, a nie „emancypowanej“ słuszniejby się należał. Jedynie pokojówka, naśladowca swojej pani, jak bezrozumna małpeczka, staje się przez swą naiwność rozumniejszą w postulatach, od frazesami sypiącej swej pani, co więcej, prawdziwie i najszczerzej komiczną.

Gdyby przeto autor figury te rozmieścił w komedyi, która sobie nie obrała za cel główny, poruszenia przedmiotu dziś będącego na stole, byłyby one dodały nie mało pojęty całości komedyi, a tak postawiły autora w rozbracie z jego zadaniem, którego obrawszy fałszywe podstawy, ani obronić nie miały, ani być w stanie. Nie chcemy tu przesądzać, czy przedmiot ten w komedyi jest jeszcze za wczesny, ale to pewna, że raz go używszy, należałoby się go jąć wszechstronnie i logicznie. Dyalektyka bowiem autora, którą kładzie w usta narzeczo-

nego panny Jadwigi, jest i kruchą sama przez się i w najniebezpieczniejszej ulokowaną chwili. Jesteśmy wreszcie z góry przeciwni wszelkiej dyalektyce w komedii, jeżeli się ona nie rozwija z toku naturalnego samej akcji, i jeżeli nie płynie z konsekwencji samych charakterów. Oderwany dyalog mający objaśniać publiczność, czego chciał autor, a czego sobie nie życzy, na co właśnie zakrawa sentencyonalna rozmowa tego narzeczonego ze swą narzeczoną, zaciera wszelkie wrażenie i osiąga wręcz przeciwny skutek. Morał czy tendencja autora, powinna płynąć z samej rzeczy, rzucić się, że tak rzeknę, do oczu sama przez się, następczą słuchaczowi mimowolne a samoistne konkluzje, a nie polecać się szyldem wymalowanym umyślnie *ad hoc*, jakby z tą przestroją owego słupa drogowego: „Przechodniu, tędy a nie tamtędy wiedzie droga“. Widocznie autor sam czuł, że nie wybrnie z tematu i z zastosowanych doń charakterów inaczej, jak tylko przez objaśnienia, mające być usprawiedliwieniem tego czego chciał. Ale jaka szkoda, że ten narzeczony, przy kilku zdrowych i rozsądnych zdaniach, strzela kilka baków; nie dlatego bowiem powinien zabronić jechać do Zurychu swej narzeczonej, że tam jeździ się niepotrzebnie, bez celu, dla fantazy i kaprysu, ale dlatego, że przedewszystkiem miejsce jej byłoby stosowniejsze, w skromniejszym jakim przygotowawczym zakładzie. Nie dlatego powinien się gniewać na nią, że jedzie właśnie do Zurychu, ale w ogóle dlatego, że mając z nim iść do ołtarza i niby go kochając, woli iść za kaprysem śmiesznym i niedorzecznym i niemającym racji bytu, aniżeli powierzyć mu swe szczęście. Nie wyjątkowy fakt gniewać go powinien, ale w ogóle całe jej postępowanie dziwaczne i nienaturalne; nie to go zastrasza, że chce się kształcić, ale że wybrała taką właśnie chwilę, i że chęć kształcenia się nie płynie w niej z wewnętrznego przekonania, lecz z przesadnej, chwilowo tam gdzie panującej mody.

Że pani archiwistka jest przytem złą matką, złą żoną i gospodynią, to także nie płynie z tego, jak autor dowiesć pragnie, iż się zajmuje prelekcjami, boć przecie jedną dopiero miała prelekcję, a nieład w domu był zakorzeniony oddawna, a mąż był najniezdolniejszym pantoflem od lat, a synek Kamil łotrował się od początku chodzenia do szkół. Ten więc najważniejszy i istotnie bardzo trafny kontrast, szastania się na zewnątrz, a nieładu wewnątrz, wtedy, gdyby był zastosowany do innej głębszej i rzeczywistszej przyczyny, — traci również na znaczeniu i prawdzie. Boć nie poznaliśmy pani archiwistki jako owej pseudo-sawantki, trudniącej się przy kołysce swego dziecka, pisaniem dzieł lub dramatów, ale poprostu jako jejomość pretensjonalną, która po odczytaniu jednej prelekcji, zachciała być sławioną i wielbioną. Przyczyny nieładu w domu, złego wychowania dzieci, poniewierania mężem, nie leżą przecież w tem, że ta pani zajęta była *ciagle* emancypacyjnymi blagami. Zatem była *inna* przyczyna tego nieładu? A jeżeli była inna, pocóż się więc znajduje w tej komedii, której podstawą ma być fałszywa emancypacja? Jaka szkoda, że autor nie zastanowił się nad brakiem takiego związku między pobudkami charakteru, a jego dążeniami, i między charakterami samymi, a zadaniem swej sztuki! Taka *niejednolitość* odejmuje całą moc scenicznemu dziełu, a winę tę przypisujemy niestaranności autora, który mając nieraz bardzo szczęśliwe pomysły, nie lubi ich obrabiać jak należy, wykończyć ile możności, a przynajmniej zaopatrzyć w fundamenta trwalsze. Ta leniwość w wykończaniu, zaszkodziła też budowie samej dramatycznej, tak jak już to samo zarzucaliśmy w „Pracowitych prężniakach“. Wchodzą tu wszyscy bez ceremonii, jeden z sieni, drugi z sypialni pana archiwisty, trzeci i czwarty z bocznego pokoju; jedzą, przyjmują gości i rozmawiają w jednym i tym samym niby salonie, zostają tak długo jak im się podoba, pod najrozmaitszymi pretekstami, a nawet bez pretekstu. Jeden ciśnie się na drugiego, tłumnie, beztładnie, bez obmyślenia umiejętnego dlaczego i skąd?

A jednak niech się wam nie zdaje czytelnicy, że widzę tylko ciemne strony i nad niemi tak się rozszerzam. Przeciwnie — jeżeli się tak długo rozprawiam z panem Bałuckim, to czynię to z dwójki względów. Najprzód, że mi chodzi o sztukę oryginalną, tak rzadką na scenie warszawskiej, a potem i co więcej, że mi chodzi o samego autora,

którego talent ceniąc nie od dzisiaj, nie widzę go w tym stopniu postępu, do jakiego dotrzećby zdołał, gdyby zechciał pamiętać: 1) że powodzenie obowiązuje, a 2) że wrodzoną zdolność, musi podtrzymywać ciągłe kształcenie się i niestanna praca. I największy talent nie zasilany z dwóch tych źródeł, rychło wyczerpać się musi, albo też zejść na kopiowanie samego siebie, na powtarzanie jednych i tych samych idei, nawet pod formą pozornie tylko odmienią, a w samej rzeczy, nie wydoskonaloną jak przedtem. Mało komu było dane, tak jak panu Bałuckiemu, wystąpić zrazu z takim powodzeniem, choć już wtedy ci, którym chodzi o kapitał zdolności ogółu, przestrzegali go przed pośpiesznością i jednostronnością poglądu. Odtąd upłynęło lat kilka, pan Bałucki napisał kilka sztuk nowych, a przecież zarzuty poprzednie dziś jeszcze zastosować się dadzą.

Lecz właśnie do tych stron jasnych, uderzających każdego, skłaniających do orzeczenia, że pan Bałucki ma talent komedyo-pisarski, potrzeba się mu przełamać, i wysiłkiem myśli i potęgą pracy, wybić z zaśniedziałości poglądów, jakoteż z powtarzających się zbyt upornie błędów. A tych stron jasnych, jest i w tej komedii dosyć. Zaliczamy do nich najprzód siłę komiczną, płynącą naturalnem korytem tam, gdzie autor zdołał wyswobodzić się z krepujących, a poniewolnie nałożonych sobie pęt, naprzykład wtedy, gdy w oczekiwaniu trupa Kamilka, jako po odbytych pojedynku, sprowadzają go martwego, ale w stanie najzupełniej pijanym; — albo gdy biednemu bakałarzowi raz każe pani archiwistka ostro trzymać synka, to znówu popuścił mu cugle, wiecznie czyniące go odpowiedzialnym za wszystkie jego wybryki; albo gdy się dowiaduje o pożyczce przez Kamilka aktorce swego okrycia. Są to wszystko momenta szczęśliwe, których nie wymyślił lada kto, piszący zamiast komedii wypracowania mozolne. Dalej do stron jasnych, liczymy niektóre podrzędne w tej sztuce, a mianowicie to najwybitniej wychodzące charaktery, jako pana Januarego, którego bardziej jeszcze uwidatniła wyborna gra pana Rapackiego, służącego, bakałarza i pokojówki. Prawdziwa szkoda, że te figury nie wystąpiły na plan główny, rugując takiego modnego moralistę, jak ów narzeczony, taką nikłą pannę Jadwigę, takiego nijakiego pana archiwistę i taką wielce przesadzoną, a nieprawdopodobną panią archiwistkę. Naturalnie, że dezyderya nasze są już cokolwiek spóźnione, ale może posłużą za szczęśliwą wskazówkę na przyszłość autorowi, który potrzebuje tylko przy swej łatwości pisarskiej, zaopatrzyć się w cierpliwość pracy i wytrawniejszy pogląd, aby zostawić na zawsze dzieła swoje w repertuarze teatralnym.

Nadto witamy w tej sztuce, szereg mających się rozpocząć sztuk oryginalnych. Gdyby tylko postarano się o większą dbałość w obsadzeniu ról, o większą — że tak powiem — miłość dla rodzinnych utworów. Przedewszystkiem roli Kamilka nie powinna grać żadną miarą pani Ostrowska, lecz pan Szymanowski, któryby umiał ucharakteryzować się na wyrostka, jak tego mieliśmy dowód w roli Urbasia w *Safandulach*. Pani Ostrowska z roli tej, bardzo wdzięcznej dla aktora, nie była w stanie zrobić tego, co autor chciał. Brak głosu zastąpiła krzykliwością, przez co stawały się niewyraźnymi dla uszu słuchacza całe zdania i okresy; nie winimy jej wszakże o to, bo jako chętna artystka, uczyniła zapewne to, czego od niej zażądano. Pani Niewiarowskiej, grającej główną rolę archiwistki, prosilibyśmy tylko o miarkowanie, karykaturalnie już przez autora wystawionej postaci; podniesiony głos jej bowiem dochodził czasem do stopnia, po za którym nie widzi się już i cienia charakteru. Zdolna ta i pracowita artystka, zapewne na dalszych przedstawieniach, sama się rozpozna. Inni grali niezgorzej — panna Mazurowska nie wiele mając pola do popisu, była wszakże naturalną, ile się dało. Główna jednak pochwała należy się przedewszystkiem panu Rapackiemu, Damsemu i pannie Gilskiej. Pan Rapacki jest najwybitniejszym komentatorem sztuk pana Bałuckiego. Zna on miasto, z którego autor ten zbiera wzorki, którego studjuje fizjognomię. Biliśmy mu oklaski w „Radcach pana radcy“, — także bić musimy bezwarunkowo za rolę Januarego. Pan January jest to stary kawaler, papinkowaty, rozpustny, szukający pozycyi w schwytności posagu, a nadto najzupełniejsze zero z odcieniem obłudy i intryganctwa. Talent ucharakteryzowania się pod-

niósł pan Rapacki do najwyższego stopnia, a grę stworzył tak oryginalną, tak wybitną i potężnie komiczną, że widzowie z tęsknotą oczekiwali scen, w których się ukaże. Nie mniej pan Damse w roli służącego, umiał być jak zawsze, szczerze komicznym, odznaczającym się ową prostoduszną szczerością, która się magnetycznie udziela i publiczności. Panna Gilska zaś, grająca zawsze wybornie rolę subretki, tym razem zwróciła na siebie główną uwagę; była bowiem najzupełniej taką, o jakiej zapewne autor marzył. Czytając Rinaldyniego i dumnie odrzucając oświadczenia miłosne kolegi służącego, dopominała się wkrótce potem energicznie u swej pani, równouprawnienia dla pokojówek. Co zaś głównie idzie na jej zaletę, że nie szarżowała w roli, nadającej się do tego.

Edward Lubowski.

Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ.

Obrazy świata pierwotnego.

Ziemia mgławicą. — Jej temperatura i objętość. — Stopniowe przemiany skorupy ziemskiej. — Atmosfera. — Pierwsze deszcze wrzące. — Wydzwignięcie się gór. — Granit. — Pierwsze jestestwa. — Epoka Syluryczna. — Trylobity. — Państwo Neptuna. — Łądy owocne. — Europa w epoce Dewońskiej. — Epoka Węglowa. — Lasy Lepiodendronowe. — W jaki sposób wytworzyły się pokłady węgla? — Krajobraz z epoki Permskiej. — Tryas i jego potwory. — Epoka Jurasowa. — Ammonity i Belemnity. — Olbrzymie jaszczury. — Kopolit Miss Maryi Anning. — Flora jurasu. — Lejas i Ikrowiec. — Rozbójnicy Teleosaurus. — Pierwsze ukazanie się ptaka. — Epoka Kredowa. — Żkąd pochodzi pokłady kredy? — Straszliwy Mososaurus. — Łądy Europy kredowego utworu. — Okres trzeciorzędowy. — Olbrzymie gruboskórne cocenu. — Kości Mastodonta miocenicznego poczytywane za szczątki króla Cymbrów. — Mniemane szczątki człowieka przedpotopowego. — Europa wynurza się z mórz pliocenu. — Okres czwartorzędowy. — Napływy dawne. — Potopy Skandynawski i Alpejski — Europa zamrożona. — Skon olbrzymich czworonogów. — Napływy nowsze. — Potop Azyatycki. — Deltę aluwjalne. — Charakterystyka okresów geologicznych. — Człowiek władca ziemi, ostatniem i najdoskonalszem ogniem stworzenia.

Na podstawie odkryć geologii i paleontologii, nauka odsłania nam obrazy świata pierwotnego.

Czy ziemia w obecnej swej postaci rzuconą została w przestrzeń, w chwili zawiązku ciał planetarnych? Czy w ciągu wielkich wpływów, czasu nie ulegała żadnym zmianom? Kiedy i w jakich kształtach przejawiało się na niej życie? Czem była w pierwocinach swego bytu? Oto pytania ciekawe, na które w niniejszym zarysie starać się będą odpowiedzieć.

Według teorii znakomitego matematyka francuzkiego Laplace'a, autora nieśmiertelnego dzieła: „*Mechanika niebieska*“ ziemia nasza jest słońcem zagasłym, jest gwiazdą wystygłą — mgławicą, która przeszła ze stanu gazowego w stały, w ciało planetarne.

O pochodzeniu naszej ziemi, mówi jej środek zapełniony płynami rozpalonemi, których temperatura dochodzi prawdopodobnie 195,500 stopni Celsyusza! Tak olbrzymiego zasobu ciepła, nie może pojąć nasza wyobraźnia, a jednak istnienie jego wskazują nam obliczenia matematyczne, na pewnych danych oparte.

Przyjmując ten wysoki stopień ciepła, widoczna jest rzecz, że ziemia w pierwocinach swego bytu, przedstawiać się musiała w postaci masy gazowej — była nieczem innym, tylko skupieniem cząstek gazów. Jeżeli teraz zwrócimy uwagę, że wszelkie materye gazowe, zajmują 1800 razy większą objętość, od tej, jakaby przedstawiały w stanie stałym, przyjdziemy do wniosku, że ziemia była pierwotnie tak wielką jak słońce, którego objętość przenosi dziś 1,400,000 razy naszą planetę w obecnej jej postaci.

Ciała gazowe ziemi, podniesione do nadzwyczaj wysokiego stopnia temperatury, błyszczało naówczas w przestworach, jak słońce promieniejące dziś w ciągu dnia — jak gwiazdy stałe i planety rozlewające blaski w noc pogodną. Stosując się do prawa powszechnego ciężenia, ta masa gazowa naszej ziemi krążyła około słońca, i oziębiała się stopniowo, ustępując część swego ciepła, przestworom mroźnym międzyplanetarnym, w pośród których odbywała dro-

gę. W skutek wystygania ciągłego, w cyklu czasu, którego długości nawet w przybliżeniu niepodobna nam oznaczyć, ta masa gazowa przetworzyła się w płynną, a tem samem zmniejszyła znacznie swą pierwotną objętość.

Mechanika nas uczy, że wszelkie ciało płynne, w szybkim ruchu obrotowym przyjmuje stan kulisty. Ztąd też ziemia zmieniła się w kulę, przyjęła postać cechującą większą część ciał niebieskich.

Ziemia krążąc około słońca, spełnia jednocześnie ruch obrotowy około swej osi, z czego wypływa dla nas kolejne następstwo dni i nocy. Owoż mechanika naucza, a doświadczenie potwierdza tę naukę, że kula płynna w ruchu pozostająca, w skutek wpływu siły odśrodkowej na rozmaite jej średnice, wydyma się ku równikowi, a płaszczy przy biegunach czyli na dwóch krańcach swej osi. Na mocy tego prawa, ziemia wydała się na równiku, a spłaszczyła przy biegunach — innymi słowy, stała się elipsoidą spłaszczoną w dwóch końcach.

W skutek wystygania cząstkowego masy ziemskiej, nie wszystkie jednak jej materje gazowe przeszły w stały płynny — niektóre z nich zachowały stan lotny, i utworzyły na około naszej planety, powłokę zwaną *powietrzną* czyli *atmosferą*, z greckiego *atmo* para i *sfera* kula. Mylilibyśmy się jednak wiec sądząc, że owa atmosfera w pierwocinach ziemi była podobną naszej powietrznicy. Owocześnie masa gazowa otaczająca ziemię, dosięgała bezwątpienia księżycą — obejmowała też ogromną ilość pary wodnej, która kiedyś miała w postaci wody zapełnić dzisiejsze morza. Temperatura tej atmosfery, dochodziła przynajmniej do 2000 stopni Celsjusza! Jak wielkie ciśnienie musiała znosić wówczas ziemia, pod tym kolosalnym ciężarem powietrznicy, niepodobna oznaczyć.

W atmosferze tej, obok azotu, tlenu, kwasu węglanego i pary wodnej w wielkiej masie ją nasycającej, utrzymywały się materje mineralne i metaliczne w stanie lotnym, z powodu niestęchanie wysokiego ich ciepła. W skład tej powietrznicy wchodziły chlorki metalów i alkali, siarka, siarczyki, a nawet związki krzemionki, glinki i wapna. Materje te prawdopodobnie układały się odpowiednio do swej ciężkości gątkowych.

Pierwszą warstwę najbliższą powierzchni ziemi, składały ciała najcięższe w stanie gazu, jako to: żelazo, miedź, platyna. — Ten pas powietrzny najcięższy, najgęstszy, nie przedstawiał się przezroczystym, chociaż ziemia rozpaloną była do czerwoności.

Wyżej unosiły się materje lotniejsze, chlorki metaliczne i alkaliczne, a zwłaszcza, chlorek sodu (sól kuchenna), siarka, fosfor i ich związki gazowe. Po nad tą warstwą górowała trzecia, złożona z pary wodnej, tlenu, azotu, kwasu węglanego. Te trzy pokłady atmosfery nie utrzymywały się przecież niezruszenie, lecz mieszały się często z sobą. Straszliwe huragany i wrzące materje na powierzchni ziemi, rozdzierały tę atmosferę i wprowadzały w chaos jej warstwy.

Na ziemi wówczas w skutek zachodzących niestannie reakcji chemicznych w masie płynnej, przejawiały się burze bardzo gwałtowne, połączone z potężnymi wytryskami elektryczności. Pioruny przerywające ów chaotyczny świat, przyczyniały się do powiększenia grozy obrazu, o jakim żaden pędzel nie mógłby nam dać wyobrażenia. W ten to sposób, kula ziemską krążyła w przestrzeni, ciągnąc za sobą płonący pioropuz atmosfery, niezdolnej do utrzymania życia, nieprzystępnej dla promieni słońca, około którego zataczała łuk olbrzymi.

Temperatura przestworów planetarnych jest nadzwyczajnie niska — według Laplace'a, wynosi przynajmniej 100 stopni niżej zera. — Przebiegając przez nie, rozżarzona ziemia musiała zwolna wystygąć — zwolna też zmieniała się w bryłę ciastowatą.

Nie należy też zapominać, że ziemia z powodu swego stanu płynnego, ulegała na całej powierzchni przypływom i odpływom jakie dziś charakteryzują morza — a ruchy te zachodziły w skutek oddziaływa-

nia na nią księżycą i słońca. Przypływy te i odpływy przyspieszały zeskorupienie ziemi. Ciała stałe pływające po jej powierzchni w półpłynnej, łączyły się tem samem, z sobą tworzyły ławice, jak to widzimy dziś na lodowiskach mórz biegunowych.

Z połączenia się tych ciał stałych powstała skorupa ziemską, jeszcze nie dość spójna, jeszcze nie dość gęsta, pokrywająca rozżarzone wewnątrz płyny, lecz w miarę postępu wystygania całej masy, nabywająca coraz większej grubości.

Dziś grubość tej skorupy według obliczeń geologicznych, wynosi około osmiu mil polskich.

Ponieważ skorupa ta była jeszcze słabą, potoki materji płynnych wewnątrz zawartych, w połączeniu z prężnymi gazami, przebijały tę powłokę i wydźwigały na niej garby górskie. Wyrzucony z tych czeluści roztopiony granit, zastygał na powierzchni ziemi. W ten sposób wyformowały się góry i żyły kruszczowe, miedzi, żelaza, antymonu, ołowiu, z których dziś przemysł korzysta.

Na ziemi więc zrazu przedziwnie równej i okrągłej, powstały góry, rozpadziny, fałdy, zmieniające jej postać pierwotną. Wreszcie w wystyganiu ziemi przejawiała się ta chwila, że temperatura jej znacznie obniżona, nie mogła już utrzymać w stanie lotnym, potężnej masy wód, pływającej w atmosferze w stanie pary. Wówczas to para zgęszczona, ostudzona zmieniła się w płyn, i pierwsze wyrzuciła deszcze. Wypada nam dodać, że owe deszcze były potężnymi potokami wrzącymi, gdyż wody ich zgęszczone pod gwałtownem ciśnieniem atmosfery, nabywały temperatury wyższej od 100 stopni Celsjusza.

Pierwsza kropla wody, spadłej na powierzchnię jeszcze rozpaloną ziemi, otworzyła jej nową fazę rozwoju. W rzeczy samej, wody deszczowe dotykając tej skorupy rozżarzonej, zmieniały się natychmiast w parę, wznoszącą się w górne warstwy atmosfery aż do najdalszych jej granic — a tu oziębione w przestworach zimnych, zgęszczały się i spadały w potokach deszczowych, zmieniając się z kolei w kłęby pary. W skutek ciągłych takich przemian stanu wody, zabierającej ciepłok z powierzchni ziemi, ta coraz więcej wystygła.

Jak długo trwała walka uporeczywa pomiędzy ogniem a wodą, przy niszczących salwach baterji piorunów — nikt tego oznaczyć nie może. To wiemy tylko, że bój ten zakończył się zwycięstwem wody, która całą ziemię objęła w posiadanie. Ocean wówczas zapanował wszechwładnie na naszej planecie, przerywany jedynie wybuchami ognia wewnętrznego, tlejącego pod tą skorupą zalaną morzem.

Dla zdania sobie sprawy z reakcji chemicznych i mechanicznych wód wrzących na powierzchni ziemi, potrzeba nam poznać skład jej skorupy. Pierwszą podwaliną ziemską na której spoczywają inne warstwy, jest *granit*.

Czemże jest granit? Jest połączeniem krzemionów glinki, potażu i sody.

Kwarc, feldspat i mika, niespojone żadnym cementem tworzą skupienie będące mieszaniną tych trzech mineralów. W Saksonii nazwano *gnejsem* odmianę granitu, w którym przeważa mika, a nazwa ta przyjęta została w geologii. Gdy deszcze wrzące spadały na cypłe górskie i iglice granitowe, potoki ich spływając po stokach w doliny, kruszyły krzemiany złożone z feldspatu i miki tworząc ławice gliny i piasku kwarcowego. W ten sposób powstały pierwsze warstwy ziemne za wpływem wody i powietrza — pierwsze osady wyformowane przez morze. Gliny pochodzące z rozkładu tych skał feldspatowych i mikowych, w skutek wysokiej temperatury kuli ziemskiej, zaczęły się z sobą mieszać, a następnie zastygając przyjęły postać w półkrystaliczną. Budowa ich warstwowana przyjęła nazwę łupkowej.

W ten sposób powstały pierwsze gliny i łupki, tworzące pierwotne osady na granicy spoczywające. W końcu okresu pierwotnego, kula ziemską była prawie zupełnie pokrytą wodami gorącymi i zamulonymi które tworzyły morza nie głębokie.

Kilka wysepek z cyplami granitowymi, tworzyły na tych morzach przesyconych cząstkami stałymi, archipelagi.

Po długim upływie wieków, skorupa ziemską powiększyła znacząco swą grubość, nie pozostawiała jednak w spoczynku. Części stałe tej powłoki nie mogły się jeszcze opierać ciśnieniu gazów, wewnątrz zawartych, które często rozdzierały jej powierzchnię. Masy osadowe łupków wypchnięte z łona wód, wyformowały wówczas góry, już nie z granitu złożone. Przez szczeliny w rozdartej skorupie ziemi, wstępowały materje granitowe i metalów roztopionych, — te ostatnie tworzyły tlenki miedzi, cyny, siarczyki antymonu i ołowiu, z których dziś przemysł górniczy użytkuje.

Warstwy pierwotnego utworu, zajmują środkową i północną Europę i rozległe przestrzenie w Ameryce Północnej. Granit, jak już powiedzieliśmy, składa pierwszą masę zakrzepłą wewnątrz, — łupek jednak mikowy tworzy pierwszą skorupę wyformowaną zewnątrz.

Warstwy utworu pierwotnego nie obejmują żadnej istoty organicznej, gdyż życie nie mogło się przejawić na rozpalonej powierzchni naszej planety.

Myliłby się wielce ten, kto by sądził, że warstwy zwane *pierwotnymi*, składają się wyłącznie z granitu. Ciśnienie wód i powietrza zmieniało znacznie te skały. W warstwach pierwotnych oprócz granitu, znachodzimy trzy pokłady, a mianowicie: *łupku mikowego*, *gnejsu* i *łupku chlorytowego*. Warstwy te napotykały we Francji: w Cewenach, Owernii, i w Wogezach. Obfitują one w żyły kruszczowe złota, srebra (Saksonia), miedzi, (Fallum miasto Szwecji), żelaza, cyny, tudzież w kamienie drogie, jak w rubin, korund, granat i t. p.

Łupki chlorytowe, cechujące się minerałem *chlorytem*, występują zwłaszcza w Langwedocji i w Alpach, zawierają żyły miedzi, żelaza, złota, srebra, platyny i manganu.

Wybiła wreszcie godzina pierwsza okresu zwanego *przechodnim*.

Po straszliwych wstrząśnieniach epoki pierwotnej, przyroda zdawała się uspakajać, i w milczeniu zbierać materiały do wytworu jestestw organicznych.

Przez cały przeciąg okresu pierwotnego, temperatura była zbyt wysoką, aby życie mogło zakiełkować na ziemi. Gęste mgły otaczały kolebkę świata — atmosfera była tak przeciążona różnorodnymi gazami, że promienie słońca nie mogły przedzierać się przez jej warstwy. Na ziemi rozpalonej, osłoniętej ciemnościami nocy, mogłoż przejawić się życie? Zapewne że nie — ztąd też żadnego szczątka kopalnego rośliny lub zwierzęcia, w pokładach z tego okresu nie znajdujemy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OD WYDAWCY.

Dodatek obejmujący: *Wzory ubiorów i robót* a do dzisiejszego numeru należący, dołączony był wraz z dodatkiem do Nr 5-go przy poprzednim numerze *Bluszczu*.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

TRZESÓ: Pogawędka. — Bawiąca panna, (dokończenie), przez Maryę Płnicką. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska współczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Z wiedzy przyrodniczej, przez Wincentego Niewiadomskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 28 Января (9 Февраля) 1874 г.